AS



Nr. 21.

21-GO LIPCA 1935 R.
CENA 40 GROSZY.

POWITANIE DRAPIEŻNIKA

Najlepszym strażnikiem tajemnic niedostępnych puszczy Indyj

NASZ WIELKI KONKURS

NA

NAJPIĘKNIEJSZY UŚMIECH.



p. Mila Billikówna, Lwów.



„Dziewczę z Kaszub“, Warszawa.



p. Eugenja Sadłowska, Nowy Targ.

Prowadząc w dalszym ciągu ścisłą ewidencję wszystkich najpiękniejszych uśmiechów w Polsce, wprowadzamy tym razem w szranki konkursu reprezentantów t. zw. „płci brzydkiej“. Jesteśmy przekonani jednak, że sąsiedztwo pań i panów wyjdzie obu stronom na pożytek i zainteresuje jeszcze szersze koła naszych Czytelników.

Czytelnicy „Asa“ chcący głosować, znajdą odnośny kupon na str. 26.



p. St. Czarski, Kraków.



p. Sława Bestani, Warszawa.



p. Zbyszko Lid. Piotrków.

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

WYDAWCA: SPÓŁKA WYDAWNICZA „KURYER" S. A
REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY: JAN STANKIEWICZ
KIEROWNIK LITERACKI: JULJUSZ LEO.
KIEROWNIK GRAFICZNY: JANUSZ MARJA BRZESKI.
ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: KRAKÓW, WIELOPOLE 1 (PAŁAC PRASY). — TEL. 150-60, 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65, 150-66
KONTO P. K. O. KRAKÓW NR. 400.200.

AS

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

CENA NUMERU GROSZY 40
PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR.

CENY OGŁOSZEŃ: Wysokość kolumny 275 mm. — Szerokość kolumny 200 mm. — Strona dzieli się na 3 łamy, szerokość łamu 63 mm. Cała strona zł. 600. Pół strony zł. 300. 1 m. w 1 łamie 90 gr. Za ogłoszenie kolorowe doliczamy dodatkowo 50% za każdy kolor. prócz zasadniczego. Żadnych zastrzeżeń co do miejsca zamieszczenia ogłoszenia nie przyjmujemy

Numer 21 | **Niedziela 21 lipca 1935** | **Rok I**

ASY NUMERU 21-go:



Jak rok rocznie, tak i w r. b. 14 lipiec stanowił dla Francji ważną datę jako święto narodowe, przypominające dzisiejszym Francuzom zdobycie Bastylji, uważanej naówczas za symbol tyranji. Tegoroczne święto miało się stać rozgrywką polityczną między prawicową organizacją „Croix de Feu", a lewicą. Nadspodziewanie jednak dzień ten przeszedł bez zaburzeń i oficjalny program święta mógł być przeprowadzony w tradycyjnych ramach. Na tle wspaniałego Łuku Triumfalnego prezydent republiki Lebrun odbył rewję garnizonu paryskiego, a następnie, jak widzimy na zdjęciu, udekorował Legją Honorową licznych wojskowych. Na zdjęciu chwila odznaczania admirała Fortant.

Salony polskiej emigracji.

Salon — ten wielki niegdyś współczynnik kulturalny w życiu narodu, traci obecnie coraz bardziej na wartości. Stając się unikatem, zaczyna „trącić myszką" i przypominać gabinet osobliwości. A jednak jakąż odgrywał on cywilizacyjną rolę w Polsce, iluż wielkich posunięć stał się świadkiem, ilu tajemnic państwowych powiernikiem! Stanowił on przecież jeżeli chodzi np. o stosunek do Francji, najlepszy węzeł łączący ducha i politykę obu narodów. Od czasu kiedy delegacja polska odwiedziła Paryż celem zaofiarowania korony królewskiej ks. Henrykowi de Valois, Paryż i Francja stały się celem podróży licznych panów polskich. Jan Sobieski stał się atrakcją salonów paryskich, a w sto niecałe lat później inny król polski, Stanisław I. z domu Leszczyńskich, miał w swojem Nancy i Lunéville stworzyć pierwsze salony polskiej emigracji. Zbierali się tam malkontenci wobec rządów saskich, krewni króla, Jabłonowscy, Krasińscy, Wielopolscy, Ossolińscy i liczni adherenci, którzy kończyli lotaryńską szkołę rycerską, stworzoną przez króla. Kultura francuska zaczęła przenikać. Francja stawać się coraz bardziej Mekką polskiej szlachty a później inteligencji wogóle.

Lecz salon polski zagranicą przechodził przedziwne metamorfozy: od wesołego, wykwintnego i czysto towarzyskiego miejsca zebrań przechodził przez wielkie odmiany aż do zebrania konspiratorów, myślących o zbawieniu Ojczyzny. Takim stał się on zwłaszcza po r. 1831 i 1863, kiedy to Polacy używali go celem nawiązania na terenie towarzyskim kontaktu z wybitnemi osobistościami Francji, uważanej za naturalną naszą opiekunkę.

Takich placówek politycznych zagranicą mieliśmy więcej: w Rzymie, w Dreźnie, we Florencji, wkońcu w Berlinie, Wiedniu i Petersburgu.



Salon w mieszkaniu paryskiem Chopina przy placu Vendome w ostatnim okresie jego życia.
Akwarela T. Kwiatkowskiego.



Pani Olimpja z Maleszewskich Chodźkowa należała do znanych postaci paryskiego towarzystwa.
Sztych Jamesa Hopwood 1840.

Dzięki zaletom towarzyskim i duchowym Polacy dobrze widziani byli na obcej ziemi, zwłaszcza w Paryżu. Gdy przecież z życiem paryskiego salonu łączy się wspomnienie tragicznej śmierci ks. Rozalji z Chodkiewiczów Lubomirskiej, ofiary terroru rewolucyjnego, to jedną z pierwszych osób, jaką odwiedził powracający z wygnania Ludwik XVIII. w r. 1814, jeszcze przed swym oficjalnym uroczystym wjazdem do stolicy, była p. z Massalskich Potocka, 2. voto księżna de Ligne, mająca w paryskim „świecie" ogromne koneksje.

O ile w czasach przedpowstaniowych Paryż pamiętał Polaków w glorji dobrobytu i uroku towarzyskiego, o tyle miał ich zobaczyć po roku 1831 jako emigrantów i wtedy salon polski stał się kuźnią naszej polityki. Punktem oparcia życia polskiego stanowił wtedy słynny „Hôtel Lambert" XX. Czartoryskich. Tam też pod egidą ks. Adama, a później ks. Władysława mającego wielkie stosunki na dworach europejskich, będąc wnukiem Ludwika Filipa przez swą matkę ks. Matyldę Orleańską, znajdowała się kwatera główna polskiej polityki. Jak wiadomo, Polacy z imieniem Napoleona III-go łączyli ogromne nadzieje na interwencję Francji w powstaniu 63 r., to też utrzymywali ścisłe stosunki z dworem, aby w ten sposób wpływać na nastroje cesarza wobec Polaków. Dobrze widziana przez cesarza Napoleona pani Liza z Lachmanów Przeździecka była nieraz rzeczniczką nadziei polskiej emigracji, zwłaszcza, gdy dwór przenosił się do Biarritz lub do St. Cloud. Tak było w r. 1864 na wiosnę, kiedy pani Liza po obiedzie w St. Cloud zwróciła się do cesarza, tłumiąc łzy w głosie, z zapytaniem: „Czy jest dla nas jeszcze nadzieja?" — na co Napoleon III., zwany ogólnie naówczas Sfinksem, odrzekł ponuro: „Nie widzę żadnej". Podobnie było 2 lata przedtem, gdy p. Przeździecka wręczyła cesarzowi podczas polowania w Compiègne memorjał, zredagowany przez Karola Przeździeckiego i Władysława Czartoryskiego.

Lecz były też inne salony nie mniej ciekawe, gromadzące wybitnych artystów, muzyków, dyplomatów. Takim salonem był gościnny dom pani Marji z Nesselrodów Kalergi, 2-o voto Muchanowej. Z matki Polka, pani Kalergi uchodziła naówczas za jedną z najwybitniejszych reprezentantek wielkiego kosmopolitycznego świata Europy. Pani Kalergi zawsze wykazywała dużo sentymentu dla polskości, chociaż po ojcu pochodziła ze zruszczonej westfalskiej arystokracji. Niezwykłe przymioty jej umysłu i wielka uroda czyniły z niej przyjaciółkę wielkich ludzi. W niej Alfred de Musset znajdował natchnienie, widziano ją grającą z Lisztem, Ryszard Wagner u początku dopiero swojej sławy, pocieszał się słowami zachęty do dalszej pracy, wypowiedzianemi przez piękną kosmopolitkę, a słynny poeta francuski Théophile Gautier poświęcił jej swój cudowny wiersz „Symphonie en blanc majeur". W salonach na rue d'Anjou 8. bywał też powieściopisarz Aleksander Dumas, bywał Szopen, oraz późniejszy cesarz francuski, ks. Ludwik



Pałac Lambert, stara siedziba XX. Czartoryskich, w którym zbierała się polska emigracja, radząc o akcji politycznej.



Autoportret ołówkowy Marji z Wodzińskich Orpiszewskiej, która na emigracji cieszyła się ogólną sympatją.

Bonaparte. Była to kobieta nad wyraz ciekawa, nienaganny typ wielkiej damy. Dziwny amalgamat narodowości tej rodziny — ojciec Rosjanin, matka Polka, mąż Grek, zięć Niemiec — hr. Coudenhove, — wydał za naszych czasów twórcę koncepcji „Paneuropy" hr. Henryka Coudenhove-Kalergi.

Lecz poza tym salonem były jeszcze inne, nie mniej ciekawe. Tak np. liczni wybitni literaci francuscy wspominają w swoich pamiętnikach o salonie p. Olimpji z Maleszewskich Chodźkowej, literatki i współpracowniczki w „La Pologne pittoresque", osoby wielkiej urody i zaletów umysłu. O typie wybitnie południowym, przez matkę była półfrancuzką, pani Olimpja cieszyła się sympatją wśród szerokich sfer dyplomatów i literatów. Uwiecznił ją przecież twórca „Cyganerji" Murger w postaci jednej z cyganek występującej w tej książce, a Gautier również należał do stałych gości tego salonu. Poza gospodynią samą atrakcją salonu była też jej siostra margrabina de Laqueille d'Amanzé. Panował tam kult literatury, sztuk pięknych a osoba wuja obu pań, Józefa Sułkowskiego, bohatera z pod Piramid sprowadzała nieraz rozmowę na tematy polityczne.



Scena z życia towarzyskiego XVIII wieku, według ryciny Daniela Chodowieckiego.

A ileż innych jeszcze przeróżnych salonów polskich było w Paryżu! Pan Ludwik Wołowski, dzielny oficer z r. 1831, lecz równie świetny finansista, żonaty z Francuzką, panną Faucher, siostrą ministra finansów, grał niepoślednią rolę, jako twórca wraz z hr. Ksawerym Branickim, Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego.

Nie należy zapominać o skromnym zewnętrznie, ale jakże wartościowym salonie Adama Mickiewicza, gdzie przychodzili Polacy zaczerpnąć odwagi do wytrwania na obcej ziemi i do dalszych walk o, zdawało się, niezniszczalny ideał! Również szereg pięknych kobiet stanowiło wielką atrakcję polskich salonów. Należy tu wymienić margrabinę de Noailles, z domu Świeykowską, dom Karolostwa Przeździeckich, gdzie częstym gościem był poeta Lenartowicz i tyle innych.

Również Florencja i Rzym stały się ulubionemi siedzibami polskiej emigracji. Z Rzymem łączy się przecież pamięć miłości Mickiewicza do Henrietty Ankwicz, późniejszej hrabiny



Salonik z początku XIX wieku według sztychu Lecerfa z książki „Malwina czyli domyślność serca".

Skarbkowej, 2. voto Kuczkowskiej. Roger Raczyński, dziedzic Rogalina, wielki przyjaciel Lenartowicza przyjmował u siebie we Florencji licznych i ciekawych gości. Bywała tam też pani Marja z Wodzińskich Orpiszewska, pierwsza miłość Szopena, bywał hr. Bosak-Hauke, generał z powstania 1863 r., a również słynny rewolucjonista rosyjski Bakunin.

Drezno, centrem emigracji stało się dopiero w latach po powstaniu styczniowem. Zjawiło się tam dużo ciekawych postaci, a przedewszystkiem znany działacz hr. Gustaw Olizar, który poza wielkiemi zasługami w powstaniu odznaczał się artyzmem w wycinaniu z papieru wspaniałych scen ilustrujących bajki Lafontaine'a. Polacy zbierali się najchętniej w Hotelu Bellevue, gdzie komentowali żywo wypadki polityczne. Przez długi czas przemieszkiwał w Dreźnie J. I. Kraszewski, gen. Kołaczkowski, Maciej Mielżyński, twórca bibljoteki w Poznaniu i wielu innych wybitnych ludzi. Raz po raz w salonach drezdeńskich pokazywał się również August Cieszkowski, twórca „Ojcze nasz".

W Petersburgu wielką popularnością cieszył się kosmopolityczny salon pani z Wołowskich Szymanowskiej, która umiała ożywić swą bogatą indywi-



Ks. Izabella z Czartoryskich Lubomirska grała w Wiedniu dużą rolę towarzyską podczas Kongresu Wiedeńskiego.

Z portretu Vigée Le Brun.

dualnością. Przecież sam Goethe zadedykował jej wiersz p. t.: „Trilogie der Leidenschaft", tak dalece oczarowany był jej powabami duszy i ciała!

Wiedeń i Berlin dopiero w połowie XIX. wieku stały się siedzibą licznych salonów polskich, które należały przeważnie do polskich mężów stanu w służbie państw zaborczych. Wiedeń jednak pamiętał Polaków już w XVIII wieku, z czasu Kongresu. Salony Gołuchowskich, Badeńich, Potockich i t. d. grały tam w XIX wieku pierwszorzędną rolę. W ostatnich czasach znaną postacią towarzyskiego życia był wielki ochmistrz dworu austrjackiego, Kawaler Złotego Runa, wielki uczony hr. Karol Lanckoroński, dziedzic Rozdoła i właściciel wspaniałego pałacu na Jacquingasse, pełnego nadwyraz cennych zabytków sztuki wszelkiego rodzaju.

Salony polskie zagranicą stawały się często jedynem niemal miejscem, w którem można było zaznajamiać oficjalną politykę europejską z aspiracjami narodowemi, co czyniło z nich coś więcej nad przeciętny salon.

Jan Maleszewski.



Salon hr. Morskiej w Zarzeczu przedstawiał typowe dla salonów polskich wnętrze z początku XIX wieku.

Hallo! Hallo!

— Hallo — panno Halino — zostałem harcerzem...

— Czuj duch... panie Henryku... to pięknie...

— Właśnie, ale najwięcej kłopotu mam z temi dobremi uczynkami. Nic mi się nie udaje. Pani zna mego przyjaciela Gucia. Otóż wczoraj przechodzę koło jego mieszkania. I nagle przypominiałem sobie, że właściwie nie zrobiłem niczego dobrego...

— Niemożliwe...

— A jednak... Pędzę więc na górę. Służący otwiera mi drzwi, chce mnie zatrzymać. Ja go odtrącam i wołam: „Proszę mnie nie zatrzymywać, ja chcę być dobrym". Wpadam do pokoju i nim jeszcze zobaczyłem Gucia, wołam: „Najdroższy przyjacielu — muszę zrobić natychmiast jakiś dobry uczynek... pomogę ci, zastąpię cię w twej pracy". Patrzę — a tu obok Gucia siedzi piękna dziewczyna, którą on całuje. Wskazał mi drzwi... Nie mogłem nic dla niego zrobić...

— Widzi pan, jak to trudno być dobrym...

— No wybiegam na ulicę... patrzę — naprzeciwko pali się domek. Przed domem biega właściciel i załamuje ręce. Desperuje... Domek pali się powoli. Teraz spełnię nareszcie dobry uczynek. Alarmuję straż pożarną, która przyjeżdża i ogień gasi... A tu właściciel jak nie załamie rąk, jak nie zacznie mi złorzeczyć: „Panie, co pan narobił, taki ładny pożar, a pan straż pożarną woła... premji asekuracyjnej nie dostanę... tak było wilgotno, godzinę namęczyłem się, zanim ten dom podpaliłem, a te brutale w pięć minut go zgasili....

— No dobrze, a dlaczego on załamywał ręce na widok pożaru...

— Bo wilgotne drzewo było i nie chciało się palić... Poszedłem dalej. Muszę być dobrym — mówiłem sobie. Widzę jakaś samotna kobieta z walizką w ręku stoi i płacze. Podchodzę więc do niej i mówię: „A może pani wyświadczyć jakąś przysługę... harcerzem jestem... same dobre uczynki robię". To ona otarła łzy i powiedziała: „Niech mi pan pokaże drogę do pana Hieronima Jamajki". Odszukałem w książce adresowej jego mieszkanie. Było to daleko za miastem.

— Zaprowadziłem ją tam, a potem pytam: „A pani to właściwie interes ma do pana Jamajki?" To ona odpowiada: „Teściowa jego jestem... przyjechałam, aby mu oczy wydrapać za złamane życie mojej córki... dziękuję panu za pomoc, zrobił pan rzeczywiście dobry uczynek"...

— To okropne...

— Już takiego mam pecha... Jakoś żaden dobry uczynek mi się nie udaje. Wczoraj na obiad moja gospodyni podała mi ciasto. Jako harcerz nie jestem łakomy, przyszedł żebrak — dałem mu to ciasto. Myślę sobie — no nareszcie jeden dobry uczynek. I niech sobie pani wyobrazi... dziś otrzymuję rachunek od dentysty za wstawienie dwóch zębów, które ten biedak połamał sobie na mojem cieście...

— Więc ostatecznie zrobił pan coś dobrego?...

— Zrobiłem... ale przypadkowo.

— Jak to było?

— Przed dwoma dniami prowadziłem auto. No i wjechałem na dorożkę konną. Jechał w niej jakiś młody człowiek we fraku z bukietem w ręku. Odniósł lekkie obrażenia, przeleżał się dwa dni w szpitalu. Dziś przyszedł do mnie i powiedział: „Panie — zrobił pan dobry uczynek.... pijany byłem i jechałem się oświadczyć o rękę pewnej rudej Ksantyppy... przez ten pański wypadek wytrzeźwiałem... Rozmyśliłem się... Nie oświadczę się jej już... Pan jest dobrym człowiekiem...". Widzi pani, a jednak czasami można zrobić jakiś dobry uczynek.

Mikrofon.

CIEKAWE ★ DROBIAZGI.

WSZYSTKO ZE SZKŁA.



Na jednej z wystaw londyńskich, poświęconej sztuce stosowanej i dekoracji wnętrz, wystawiono m. in. urządzenie pokoju wykonane ze szkła. Podłoga i ściany stoiska sporządzone były również ze szkła przeźroczystego i matowego. Na zdjęciu widzimy szklany stolik i tapczan. Forma tych sprzętów przedstawia się nader korzystnie, a materjał jest naprawdę oryginalny. Kto wie jednak, czy taki szklany pokój nie robi wrażenia jakiejś sali szpitalnej?

W każdym razie urządzenia tego rodzaju nie poleca się małżeństwom, które „zawzięcie i wymownie" ze sobą dyskutują!

(jal).

FOTOGRAFJE ROENTGENICZNE KWIATÓW.





Pani H. Engelbrecht dokonała ciekawych zdjęć roentgenicznych szeregu najrozmaitszych kwiatów. Reprodukujemy dwie fotografje z tego zbioru, a mianowicie lilje (na lewo) i kielich „kalli". Dodać warto, że zdjęcia uwidaczniają dokładnie żyłkowanie płatków i budowę kwiatu, oraz odzwierciedlają doskonale plastykę rośliny.

(m).

HOMERYCKIE WALKI NA SZACHOWNICY.



Szachy wyrabiano w ubiegłych wiekach nadzwyczaj bogato i kunsztownie. Oto szachy zrobione z drzewa lipowego, a inkrustowane bogato macicą perłową i kryształkiem, które darował sultan Achmed III hetmanowi Adamowi Sieniawskiemu.

Starożytni nazywali grę w szachy „grą królewską", współcześni uważają ją za najmądrzejszą wśród mądrych. Świetnym szachistą był Napoleon I i wielu jeszcze innych wybitnych postaci historycznych staczało wpierw na szachownicy walki, które wkrótce mieli przenieść na realny teren europejskiej dyplomacji. Jak się więc okazuje, jest to rodzaj przedszkola życiowego, jakiś „mikrokosmos", zawierający w sobie te wszystkie elementy, jakie powtórzą się na arenie życiowej.

Grając w szachy „jak noga", miałem dla tej pokreskowanej deszczułki i dla szachistów zawsze wielki respekt. Co więcej, uważałem tę dziedzinę za jakieś gusła, ujęte w formułki matematyczne, wiedzę nieomal hermetyczną. A mówiąc szczerze, byłem przekonany, że szachiści to rodzaj genjalnych maniaków, żyjących nietyle w obłokach, co na kratce szachownicy. Gdy będąc referentem orderowym w protokole dyplomatycznym Ministerstwa Spraw Zagranicznych, miałem pewnego razu wygotować trzy formularze na krzyże Zasługi dla trzech znanych szachistów polskich, wśród których znajdował się dr. Tartakower i Makarczyk, zastanowiłem się nad znaczeniem tego kunsztu i udałem się do jednego z klubów szachowych, mieszczącego się w kawiarni na ul. Marszałkowskiej. Dziwny to światek! Milczący, zamknięty, odseparowany od wszelkiego zgiełku życia.

Stwierdziłem, że dla rasowego szachisty konik nieprzyjaciela lub wieża są znacznie ważniejsze od własnej żony lub starego przyjaciela z ławy szkolnej. Jest to dziedzina, w której istnieje olbrzymia literatura, zarówno fachowa, jak też traktująca szachy jako temat pośredni. Zdaje się, że jednem z najstarszych dzieł naszego piśmiennictwa, jakie powstało o szachach, jest poemat Jana Kochanowskiego, w którym poeta wskazówki praktyczne połączył z ciekawą fabułą.

Jeżeli chodzi o Polskę, to posiadamy szereg wybitnych szachistów, którzy wywalczyli sobie na szachownicy bardzo wybitne miejsce. Należy tu przedewszystkiem wymienić dra Tartakowera, wielką gwiazdę międzynarodową, Makarczyka, Frydmana, Appela, Rzeszewskiego, który wprawdzie jest tylko Polakiem z pochodzenia, niemniej jednak pamięta o swojej dawnej ojczyźnie, i in.

Chwila obecna jest dla szachistów chwilą, pełną wielkich oczekiwań, zbliża się przecież olimpjada, w której na szachownicy stoczą ze sobą bezkrwawe walki liczne asy międzynarodowe świata szachów. Przedstawicielowi naszemu udało się uzyskać w Łodzi chwilę pogawędki z drem Tartakowerem, który chętnie poinformował go o licznych szczegółach, dotyczących świata szachów, zwłaszcza w Polsce.

„W Polsce — zaczyna z uśmiechem dr. Tartakower — wyrasta młode pokolenie szachistów o specyficznym systemie gry. Wśród graczy tego młodego pokolenia jest kilka młodych talentów, rokujących najpiękniejsze nadzieje, zwłaszcza gracze warszawscy. Paulin Frydman jest graczem na wielką skalę i nawet w turnieju mistrzów miałby wiele do powiedzenia, a odniósł już szereg cennych sukcesów na terenie międzynarodowym.

Wielkim talentem jest Najdorf — rokuję mu piękną przyszłość. Również i Makarczyk jest graczem ambitnym, bojowym, na którym można polegać, posiada jednak pewne luki w dziedzinie teoretycznej. Bardzo zdolnym graczem, o sporej wiedzy, jest również lwowianin H. Frydman.

O ile chodzi o Łodzian, to wszyscy bez wyjątku, reprezentacyjni gracze łódzcy, z którymi się zeknąłem, są niewątpliwie zdolnymi szachistami. Moimi „pogromcami" na turnieju w Warszawie byli tylko dwaj łodzianie, A. Frydman i Appel. Obaj ci gracze — to swego rodzaju tanki, które niejeden mur obronny potrafią przebić — dorzuca po chwili mistrz Polski.

Na zapytanie, jak się przedstawiają szanse poszczególnych drużyn na tegorocznej olimpjadzie, dr Tartkower oświadcza po chwili namysłu:

— Na podstawie papierowych obliczeń i przewidywań — zresztą często zawodzących — na mistrza olimpijskiego typuję St. Zjednoczone. Za ekipą amerykańską przemawia jej bojowść, bezkompromisowość oraz ambicja utrzymania swego prymatu, zdobytego na ostatnich dwóch olimpjadach. Reprezentanci St. Zjednoczonych — zarówno stary, wielki mistrz Marshal, jak i młody, ale również wielki talent — Rzeszewski, są gwiazdami szachowemi wielkiej miary. — Na drugiem miejscu stawiam drużynę austrjacką. Szachiści austrjaccy reprezentują krańcowo odmienny typ gry. Ekipa ta składa się z samych powag, wybitnych teoretyków szachowych, reprezentuje jednak szkołę gry może zbyt miękkiej, lubującej się w pięknych, subtelnych kombinacjach, zato skłonnej do remisów, niewdzięcznej, o ile chodzi o wyniki w walkach turniejowych. Jugosławja — to dr Vidmar czy Pirc. Gracze ci mają niewątpliwie wielką rutynę turniejową, ale są także raczej wielkimi znawcami, niż nieustępliwymi bojownikami.

Mistrzyni Europy, Czechosłowacja — nie jest, mojem zdaniem, taka groźna. Jej główną siłą jest znakomity Flohr, następni gracze ustępują mu wielce zdolnościami i wiedzą. Dużo do powiedzenia będzie zapewnie także miała Francja, ze względu na udział w jej ekipie mistrza świata Aljechina.

— A jak się przedstawiają nasze szanse? — pada wkońcu pytanie naszega przedstawiciela. — Czy potrafimy powtórzyć sukces ostatniej Olimpjady w Folkestone, która dała nam 3 miejsce?

Mistrz Polski uśmiecha się tajemniczo.

— Szachiści polscy grali zawsze dobrze i byli groźni dla najlepszych drużyn świata. Gdyby podsumować nasze ostatnie międzynarodowe wyniki, to rezultaty nasze wypadłyby lepiej, niż Ameryki.

Niewątpliwie przedstawiciele młodego pokolenia, z jakich się będzie składała nasza drużyna narodowa na obecnej olimpjadzie, mają pewne braki, wynikające z braku doświadczenia turniejowego. Braki te staram się obecnie uzupełnić, przeprowadzając z czołowymi graczami treningi i ćwiczenia.

Pewien jestem, że ambicja i zapał, w połączeniu z należytym zasobem wiedzy i zdolnościami naszych graczy — złożą się na zasłużony sukces drużyny polskiej na Olimpjadzie — kończy arcymistrz szachownicy.

Oto źródłowe wskazówki co do obecnego stanu naszych sił zbrojnych na kwadratami pociętej szachownicy.

Nasz rodak dr. Tartakower należy do najwybitniejszych szachistów świata
Fot. „Światowid"





Robotnica-niańka oswabadza młodziutką mrówkę z kokonu.

tajemnice MROWISKA

Zupełnie jasnem i naturalnem jest dla nas, że niedołężne niemowlęta i małe dzieci pozostają pod opieką nianiek, dziwnem jednak może się wydać, że podobne opiekunki istnieją także u niektórych owadów a między innemi u mrówek.

Owady te dobrze znane każdemu od dawien dawna stanowiły przedmiot zainteresowania wielu badaczy ze względu na bardzo ciekawy sposób życia.

Niejeden zapewne wiąże z mrówkami niemiłe wspomnienia, gdy zmęczony długą wędrówką po lesie usiadł na jednym z wielu pniaków, rozrzuconych na pięknej polance leśnej, ciesząc się nadzieją miłego wypoczynku, musiał jednak z tej przyjemności zrezygnować napadnięty przez te owady. A ileż to razy amator konfitur po otworzeniu słoika zauważył całe ich mnóstwo, raczące się słodyczą i sam musiał obejść się tylko smakiem!

Mrówki żyją gromadnie, zakładając swe gniazda w ziemi lub pniach drzewnych albo też budują kopce, dobrze wszystkim znane — mrowiska, wznosząc je z cząstek drewna, kory, ździebeł trawy oraz igliwia. W mieszkaniu takiem są liczne komory, galerje i korytarze, znajdujące się na różnych piętrach. W nich składają mrówki jajka, wychowują i pielęgnują gąsienice i poczwarki, magazynują żywność, prowadzą hodowlę mszyc lub innych owadów albo zakładają ogródki, hodując w nich różne grzybki.

Mrówki uznane za symbol pracowitości tworzą społeczeństwa złożone z nielicznych stosunkowo samic i samców oraz wielkiej bardzo ilości robotnic. Osobniki te różnią się między sobą nietylko pewnemi szczegółami w budowie i wielkością, ale także wykonywanemi przez siebie czynnościami.



Mrówki spełniające role nianiek, wynoszą poczwarki na słońce i świeże powietrze. W kole: Nowonarodzone mrówki otrzymują pierwszą kroplę pożywnego płynu od swej karmicielki



Skoro nadejdzie okres „lotu godowego", uskrzydlone samce i samice wzbijają się w przestworza, a kiedy opadną na ziemię, samce giną, samicom zaś odpadają skrzydła lub też zostają one odgryzione przez robotnice. Wtenczas samice zaczynają składać jajka. O ile rola ich ogranicza się tylko do tej funkcji, to robotnice spełniają bardzo wiele różnorodnych czynności. Panuje wśród nich wyraźny podział pracy, czego następstwem jest nadzwyczajny i zadziwiający ład, jaki panuje w mrowisku. Każda robotnica zajęta jest swoją — jej tylko przeznaczoną czynnością. Jedne z robotnic żywią całą kolonję, inne utrzymują porządek w komorach i korytarzach i w razie uszkodzenia mrowiska natychmiast przystępują do jego naprawy, większe od innych, opatrzone dużemi głowami i szczękami, prawdziwi „żołnierze" bronią gniazda w chwili zagrażającego niebezpieczeństwa. Wychowaniem potomstwa wylęgłego z jajek zajmują się robotnice specjalnie do tego celu przeznaczone. Zpewnością niejeden z czytelników przyglądał się mrowisku i mrówkom przy pracy i podziwiał, jak nieraz maleńkie te stworzonka ciągnęły zdobycz znacznie je przewyższającą tak wielkością, jak i ciężarem, a gdy nie mogły dać sobie rady, na pomoc przychodziły im towarzyszki i wspólnemi siłami dokonywały zamierzonej pracy.

A jeżeli włożył ktoś kij w mrowisko (co stało się nawet przysłowiowem niemal powiedzeniem), nagle zakotłowało się w niem i zaroiło od wielkiej ilości mrówek, rozbiegających sę w różnych kierunkach. Pomiędzy niemi zauważyć można było takie, które zaniepokojone nagłym ruchem szybko porywały z ziemi jakieś maleńkie, białawe, owalne jakgdyby jajeczka i umykały z niemi wgłąb mrowiska, szukając tam schronienia. To właśnie niańki mrówcze, które korzystając z pięknej pogody wyniosły poczwarki na słońce i strzegły je niby drogocennego skarbu. W razie zaatakowania przez jakiegoś napastnika taka mrówka-niańka, niosąca jakgdyby w powijakach przyszłą mrówkę nie tak łatwo pozbędzie się powierzonego jej opiece „maleństwa" i bronić go będzie z narażeniem własnego życia.

Ponieważ w różnych częściach mrowiska panują różne warunki temperatury i wilgotności, przeto robotnice-piastunki, które troszczą się bardzo o powierzone ich pieczy potomstwo, przenoszą z miejsca na miejsce beznogie, przeźroczyste gąsieniczki, aby zapewnić im w każdej

(Dokończenie na str. 51-ej).

HANDLARZ ŻYWYM TOWAREM

ANTONI MARCZYŃSKI

NOWELA

Jerzy F., najmłodszy wiekiem urzędnik Ministerstwa Spraw Zagranicznych jednego z kolonjalnych mocarstw otrzymał wreszcie upragniony urlop, po którym nie miał już wrócić do Centrali, ale objąć nieco odpowiedzialniejsze stanowisko w ambasadzie w Paryżu. Ta miła, podwójna niespodzianka pozwoliła mu spełnić życzenie jego przyjaciółki, która chciała choć raz w życiu wyjechać zagranicę i zobaczyć Paryż oraz francuską Riwjerę.

Pojechali najpierw na Riwjerę. Zamieszkali w Juan-les-Pins, skąd robili wycieczki do różnych, powszechnie znanych miejscowości „Lazurowego Wybrzeża" itd. Początkowo wszystko układało się jak najlepiej i Jerzemu wydawało się, że przeżywa najpiękniejszy okres w swojem życiu. Aż pewnego razu...

Kitty oczywiście zauważyła go pierwsza, tego szpakowatego bruneta z orlim nosem, typowego południowca o czarnych, błyszczących oczach, których spojrzenie było dziwnie przenikliwe, ba, denerwujące!

— Bardzo przystojny mężczyzna — stwierdziła.

— Czy masz na myśli tego starego piernika? — spytał Jerzy.

— Stary? Ależ on ma najwyżej 40 lat... Typowy Hiszpan.

— Albo żyd.

— Ani jedno, ani drugie, lecz poprostu wasz rodak — rzekł nieznajomy, obdarzony snać doskonałym słuchem.

Jerzy zmieszał się trochę i coprędzej odszedł wraz z Kitty, widząc, że ów rodak pożera ją wprost wzrokiem.

— Ten typ wygląda mi na handlarza żywym towarem — rzekł, przyciskając ramię swej młodziutkiej przyjaciółki; — musisz się mieć na baczności, kochanie moje; te łotry są zdolne do wszystkiego!

Popołudniu zrobili wycieczkę do Monako i pierwszym człowiekiem, jakiego spotkali w parku przy Akwarjum był oczywiście ów rodak. To samo wydarzyło się pod wieczór, gdy wkraczali do sali gry w Monte Carlo, to samo jeszcze z dziesięć razy w ciągu następnych dwóch dni. Jerzy zaczął się niepokoić o swoją dziewczynę, gdyż tamten snuł się za nią jak cień.

— Gdyby ten handlarz żywym towarem ośmielił się kiedy ciebie zaczepić, palnę go pięścią w szczękę — odgrażał się głośno.

Tymczasem nieznajomy zaczepił.... Jerzego.

— Chciałbym panu zaproponować pewną transakcję — rzekł bez wszelkich wstępów, ale może wyjdziemy z sali...

— Czego pan sobie życzy? — spytał Jerzy zimna, gdy wyszli z pięknego kasyna „Palm-Beach" w Cannes na taras z wielkim basenem.

Poprostu tego, żeby pan jutro stąd wyjechał. Za spełnienie tego kaprysu jestem gotowy wypłacić panu pięć tysięcy franków.

Jerzy zrazu osłupiał ze zdumienia, ale po chwili spojrzał przyjaźnie na tego dziwaka; sam był nieźle spłukany po „pechowym" dniu w Monte Carlo, urlop i tak dobiegał końca, a pięć tysięcy franków piechotą nie chodzi.

— Tylko jeden mały waruneczek — dodał tajemniczy rodak, kiedy Jerzy wyraził swą zgodę na natychmiastowy wyjazd: — szanowny pan odjedzie stąd s a m! Bez swojej ślicznej przyjaciółeczki!

— Ach, o to chodzi! — warknął Jerzy. — I pan sądzi, że ja...

— Sądzę — wtrącił tamten — że mogę panu dodać jeszcze 2 tysiące.

— Panie! Jeszcze słowo, a...

— Jeszcze jeden tysiąc? Zgoda?

— Pańska bezczelność przekracza wszelkie granice!

— Ale dziesięciu tysięcy przekroczyć nie może. Więc 10.000, co? A jeżeli pan się nie zgodzi, to zdmuchnę panu dziewczynę bez żadnego odszkodowania... To moje ostatnie słowo.

— Panie! Jeżeli pan ośmieli się jeszcze raz nas zaczepić, to wyboksuję pana i oddam w ręce policji... To znów m o j e ostatnie słowo.

Niesłychanie wzburzony powrócił Jerzy do kasyna i opowiedział przyjaciółce przebieg całej swej rozmowy z tajemniczym rodakiem.

— Co ty mówisz! Chciał ci dać aż 10 tysięcy?! — zdziwiła się szczerze. — A to dopiero krezus!

— Nie żaden krezus, tylko zwyczajny handlarz żywym towarem. Teraz już nie mam najmniejszych wątpliwości pod tym względem.

Uwierzywszy w to serjo, roztoczył nad swoją dziewczyną najtroskliwszą opiekę, nie pozwalał jej wyjść z hotelu ani na krok samej i dwa dni upłynęły w zupełnym spokoju. Lecz trzeciego dnia Kitty zniknęła. Wszelkie rozpytywania się służby hotelowej, informowanie się u portjera, jakoteż „logiczne" wyprowadzanie wniosków co do zniknięcia Kitty pozostały bez skutku. Przyjaciółka dyplomaty zniknęła poprostu bez śladu. Wkońcu Jerzy popędził natychmiast na policję, podał, jak umiał, rysopis handlarza żywym towarem i zażądał rozesłania listów gończych.

— Zaraz, zaraz, mój panie — odrzekł komisarz policji; — wpierw radbym zobaczyć paszport tej młodej damy.

— Paszport miał przy sobie, a jej walizka zniknęła również.

— Z czego wynika, że ta osóbka wyjechała z pańskim rodakiem dobrowolnie. Nie wmówi pan w nas przecież, że wyniesiono ją związaną z tak ruchliwego hotelu...

Jerzy musiał się wreszcie z tem zgodzić, że Kitty nie uprowadzono siłą.

— Ale podstępem, panie komisarzu! Podstępem wywabiono ją z hotelu, wciągnięto do auta, związano, zachloroformowano, wywieziono i... ach, ja myśleć o tem nie mogę spokojnie! Panie komisarzu, proszę bezzwłocznie zarządzić pościg za tym zbrodniarzem. Ja pana błagam!

Komisarz przyrzekł, że uczyni wszystko, co w jego mocy i w trzy dni później Jerzy otrzymał wiadomość, iż policji... nie udało się wpaść na trop zuchwałego handlarza



żywym towarem, ani jego uroczej ofiary. Nazajutrz kończył się urlop i Jerzy, rad nie rad, musiał wyjechać do Paryża.

Zawarłszy znajomość z swoimi kolegami i koleżankami, przedstawił się wyższym dygnitarzom ambasady, którzy zaczynali urzędowanie dopiero o godzinei 11-tej, poczem zapytał, czy może się przedstawić ambasadorowi.

— Z tem musi pan wstrzymać się na parę tygodni — odpowiedziano mu — jego ekscelencja bawi jeszcze na urlopie, a ostatnio telegrafował z Algieru, że musiał się poddać ciężkiej operacji...

— Tem lepiej — mruczał Jerzy: wychodząc z gabinetu pierwszego sekretarza ambasady. — Nie jestem obecnie w nastroju do prowadzenia ceremonjalnych rozmówek i ekscelencja wziąłby mnie za tępego matoła. Trzeba się wpierw otrząsnąć z wrażenia po tem strasznem przeżyciu...

By zapomnieć o owych tragicznych chwilach, pracował intensywnie w ambasadzie, po nocach równie intensywnie zwiedzał wesołe lokale Paryża, a pieszczoty różnych Madelon, Luiz, Żanetek zacierały wspomnienia rozkosznych chwil, przeżytych z młodziutką Kitty, porwaną przez handlarza żywym towarem.

Tak upłynęły 4 tygodnie i wkońcu ambasador wrócił z podróży. Jerzy przypomniał sekretarzowi, że jeszcze nie miał zaszczytu być przedstawionym jego ekscelencji.

— Pamiętam o tem i wspomniałem już, że mamy nowego kolegę. Będzie się pan mógł przedstawić dzisiaj wieczorem przed obiadem, na który wszyscy zostaliśmy zaproszeni. Jego ekscelencja chce nas zapoznać ze swoją małżonką.

— Małżonką? Ja słyszałem, że ekscelencja jest kawalerem.

— Był nim aż do urlopu i dopiero 3 tygodnie temu w Algierze — radca ambasady zaśmiał się jowialnie — poddał się tej ciężkiej operacji, uważa pan kolega? — dokończył, mrugając filuternie okiem.

Jerzy potakiwał w roztargnieniu, odurzony zaszczytem, jaki miał go dziś spotkać... Wreszcie nadeszła chwila obiadu. Wraz z innymi zgiął się w ukłonie, a kiedy podniósł głowę i z ciekawością spojrzał na nowego zwierzchnika, doznał wstrząsu: był to ów rzekomy handlarz żywym towarem! Trudno doprawdy orzec, który z nich miał głębszą minę przy tem spotkaniu, dopiero wejście Kitty przerwało długą chwilę uciążliwego milczenia.

— Oto moja małżonka — obwieścił ambasador, poczem zaczął kolejno przedstawiać jej swoich podwładnych. Gdy nadeszła kolej na Jerzego, Kitty uścisnęła mu dłoń wyniośle końcami palców i rzekła swobodnie:

— Jakie dziwne podobieństwo! Pan mi ogromnie przypomina towarzysza moich zabaw dziecinnych.

Zdawkowym pocałunkiem musnął wybrylantowaną dłoń niewiernej przyjaciółki i odparł śmiało:

— A pani przypomina mi ogromnie pewną piękną dziewczynkę, za którą chciał mi zapłacić 10 tysięcy franków jakiś handlarz żywym towarem...

Już w dwa tygodnie później otrzymał Jerzy nieoczekiwany awans, dzięki wpływom jego ekscelencji. Został mianowany drugim sekretarzem ambasady.... ale w Berlinie! Towarzysz „zabaw dziecinnych" znikł z horyzontu pani ambasadorowej.

BOGDAN BRZEZIŃSKI
Promyk
NOWELA • ILUSTROWAŁ CHARLIE

Gdy Paweł Skrocki uprzytomnił sobie, że przegrał 2138 złotych, z których tylko 97 złotych należało do niego, — zrozumiał, że godziny jego życia są bardzo dokładnie policzone.

Był ranek niezwykle piękny. Paweł wlókł się aleją, wysadzaną osypanemi zielenią drzewami. Jakiś szary ptaszek frunął w ślad za nim, przysiadając na gałązkach i ćwierkając wesoło.

Paweł zatrzymał się i przeliczył na dłoni kapitały: dwadzieścia groszy, trzy piątki i dwie dwugroszówki razem — 39 groszy.

— Żyletka — rozmyśla Paweł — będzie kosztowała 25 groszy... I papierosy po 4 grosze. — Żebym miał jeszcze dwa grosze, byłyby cztery sztuki! — Jeszcze dwa grosze!...

Wchodzi do drogerji i kupuje żyletkę. Potem zatrzymuje się przy kiosku inwalidy. Teraz ma trzy papierosy. Jeden zaraz zapala. Zaciąga się dymem. Głęboko, aż do dna płuc! Pomogło! Może myśleć spokojniej.

— Łaskawy panie, co łaska! — szepcze siwy, beznogi żebrak.

Skrocki wręcza mu zbędne dwa grosze.

— Pomódlcie się, dziadku, za duszę Pawła!

Domy przesuwają się i nikną ze świadomości człowieka, który widzi je ostatni raz. Ulice są coraz węższe i cichsze.

Paweł wchodzi po schodach. Długa droga — czwarte piętro. Stolarzowa Jaskólska z trzeciego piętra mija Pawła, niosąc pełny kosz sprawunków świątecznych. I wcale nie zwraca na niego uwagi. Zupełnie, jakby go miała nieraz jeszcze w życiu zobaczyć!

Papieros zgasł. Paweł zapala drugiego i otwiera drzwi. Jest u siebie.

Dym błękitnemi smużgami układa się pod szarym sufitem. Paweł otwiera okno. Spogląda przez chwilę na miasto. Niezapomniany obraz! Czy wiecie, jak bardzo piękne jest miasto, które się widzi ostatni raz w życiu?

Paweł wyjmuje żyletkę. Odrzuca kolorowe opakowanie. Wyciera chusteczką. Zabłąkany promyk słońca przejrzał się w stali i zamigotał wesoło. Papieros dopala się powoli.

— Promyk... — myśli Paweł. — Gdyby tak... Gdyby jakiś promyk nadziei...

I wyobraźnia szybko strzępki myśli przekształca w obrazy:

— Gdyby tak — — ...Ktoś puka: puk, puk! Kto tam? Listonosz! Pieniężny listonosz! Ach, proszę, proszę! Czy tu mieszka pan Paweł Skrocki? Tak, to ja! Tu dla pana — 2100 złotych.. Nie, to jest: 2500 złotych! Dla mnieeee?! Od kogo? Od — od jakiegoś pana Jana Skrockiego... Jan? Jan?... To pewnie krewny. Proszę, proszę! Oto niech pan uważa, panie Skrocki: sto, dwieście, trzysta... Jakie to nowiuteńkie banknoty! (uśmiecha się listonosz — wie, bestja, że dostanie suty napiwek!) ...tysiąc, tysiąc sto, tysiąc sto pięćdziesiąt... Dziękuję! Tu ma pan na piwo 5 złotych! Nie, 10 złotych!... Dziękuję ślicznie, panie Skrocki. Kupię sobie butelkę wina do święconego!... Ach, drobiazg, panie listonoszu! Gdyby pan spóźnił się o godzinę, toby mnie pan już nie zastał...

Ostatni papieros. Jaki słodki łyk dymu!

Złudzenie rwie się, pryska. Słońce przemknęło bladą pozłotą po czerwonej podłodze i skryło się za chmurą.

— Promyk... — myśli Paweł.

Ktoś głośno mówi na schodach. Stukanie... Boże! Naprawdę ktoś puka!!

— Kto tam? — krzyczy ochrypłym głosem Skrocki.

— Listonosz!

Ręce drżą mu, jak w febrze. Zamek ustępuje. — Wchodzi bronzowy, uśmiechnięty człowiek z pękatą forbą.

— Mam dla pana przekazik!

— Ile? — szepce półprzytomnie Paweł.

— 3.000. Ładny grosz! Niech pan tu podpisze...

— Proszę... pozwól pan ołówek! — dyszy Paweł i opada na krzesło. — Gdzie mam podpisać?

— O tu, tu, panie Skrobecki.

— Skrobe...? Ja jestem Skrocki!

— Skrocki!? — listonosz wyrywa gwałtownie przekaz. — To niech pan tak odrazu mówi! Myślał pan, że z nieba forsa spadła?

— Skrobecki mieszka nademną — szepce Paweł Skrocki pokornie, jak winowajca.

Pocztyljon trzaska drzwiami. Papieros wolno dopala się na popielniczce.



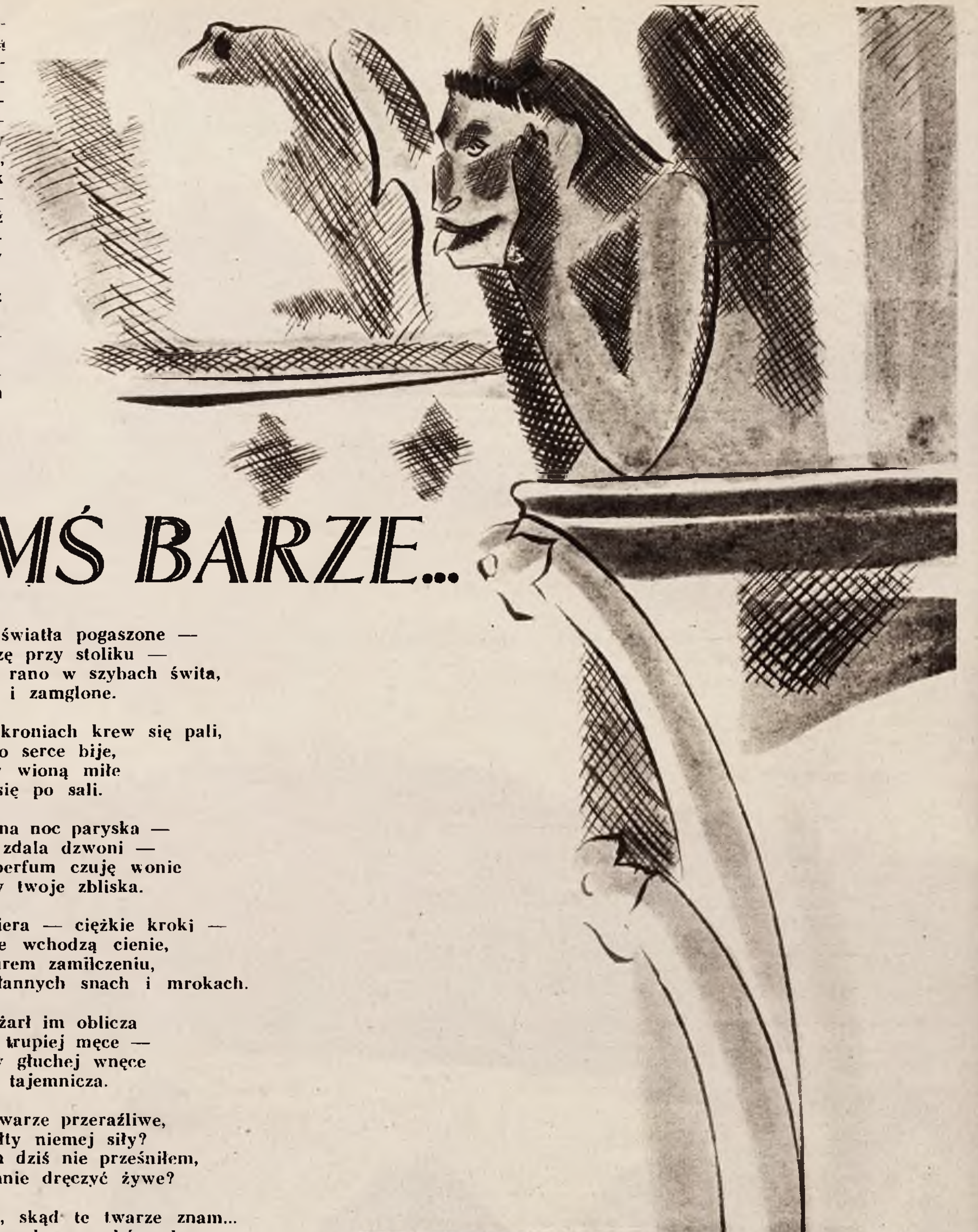
Mam dla pana przekazik...

CZARNA SYMFONJA. — Gdy niebo pokryje się chmurami, a tylko morze lśni srebrnemi falami, z gąszczów wychylają się tajemnicze postacie amazonek, szukających ochłodzenia po skwarnym dniu



Do najbardziej charakterystycznych zabytków Paryża należą liczne kamienne postacie, zdobiące wspaniałą gotycką katedrę, Notre Dame. Postacie te o przedziwnych kształtach, — chimery, półzwierzęta, pół-ludzie, — mają w sobie jakąś dziwną magiczną moc, są niepokojące i straszne, tak jak epoka, która je wydała — gotyckie średniowiecze. Zapładniają też one często fantazję artysty i znajdujemy je na wielu obrazach, w rzeźbie, w poezji.

Poniżej zamieszczamy wiersz młodego poety krakowskiego Witolda Zechentera, również napisany pod wpływem tych kamiennych tajemniczych tworów średniowiecza (ze zbioru wierszy „Ręka na sterze").



Witold Zechenter.

W JAKIMŚ BARZE...

Już mrok, już światła pogaszone —
sam jeden siedzę przy stoliku —
czas iść — już rano w szybach świta,
rano deszczowe i zamglone.

Jeszcze mi w skroniach krew się pali,
jeszcze nierówno serce bije,
jeszcze perfumy wioną miłe
i tango snuje się po sali.

W źrenicach kona noc paryska —
słyszę: godzina zdala dzwoni —
jeszcze twych perfum czuję wonie
i patrzę w oczy twoje zbliska.

Ktoś drzwi otwiera — ciężkie kroki —
jakieś skurczone wchodzą cienie,
w jakiemś ponurem zamilczeniu,
w jakichś otchłannych snach i mrokach.

Ból wieków wyżarł im oblicza
zakamieniałe w trupiej męce —
usiadły cicho w głuchej wnęce
jak jakaś wizja tajemnicza.

Skąd znam te twarze przeraźliwe,
te dziwne kształty niemej siły?
czy sny, których dziś nie prześniłem,
przyszły, aby mnie dręczyć żywe?

Nie... wiem już, skąd te twarze znam...
Z arkad kamiennych, z wrębów głazu
zeszły do baru wszystkie razem
czarne chimery Notre-Dame.

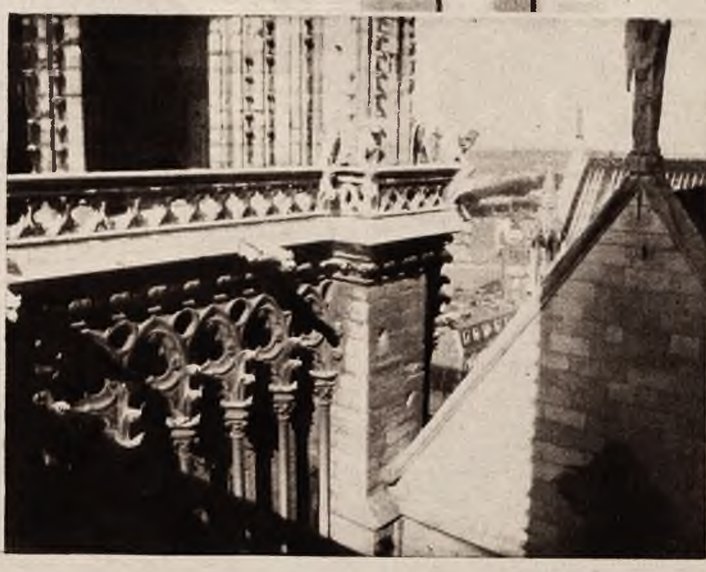
Obsiadły wszystkie puste stoły
i siedzą nieme, zimne, drętwe —
jak tam — u góry — czarnym rzędem
w Paryż wlepiając oczodoły.

Strzyga — Filozof — Zakonnica —
Sowa — zamarłe siedzą w mrokach —
a świt deszczowy puka w okna
i w niemych przędzie się źrenicach.

Pieśnią kamienną wilgoć spływa —
patrzą — świadkowie lat otchłani —
przyszły do baru na śniadanie
umarłe trupy wiecznie żywe.

Jakie to śmieszne! — „L'addition"!
czas iść — sen głupi w szarym barze —
idę po pustym w mgle bulwarze —
a na Notre-Dame chimery śpią.

Ból wieków wyżarł im oblicza —
z arkad kamiennych — z wrębów głazu
patrzą na Paryż wszystkie razem
jak jakaś wizja tajemnicza...



Jeden z najpiękniejszych fragmentów katedry Notre Dame z licznemi kamiennemi postaciami chimer.

WILNO — LAMUS STAROPOLSZCZYZNY.



Wieża kościoła św. Kazimierza widziana spod kolumnady Ratusza.

Gdy pewnego jesiennego popołudnia wsiadłem w Poznaiu do pociągu pospiesznego, by udać się do Wilna, zdawałem sobie jasno sprawę, że jadę w krainę zgoła egzotyczną. Przecież po wymiecionym czysto Poznaniu i uporządkowanej Wielkopolsce, Wilno i Litwa wogóle robić musiały wrażenie rzeczy nie należących do normalnego widnokręgu człowieka.

I tak też było. Wysiadłem na dworcu wileńskim zziębnięty, gdyż panowała tam niepodzielnie zima. Ulicami, puchem śnieżnym przykrytemi, mknęły typowe małe saneczki, w których dwie najwyżej osoby i to trzymając się nieco serdecznie, zmieścić się mogą, na trotuarach widzało się „obachulane" postacie, których głowy nakryte były nieraz jakiemiś czapami, przypominającemi żywo stroje rosyjskich bohaterów z filmu Paramountu.

Zacząłem się rozglądać wokoło. Im więcej się patrzyłem, tem bardziej dochodziłem do przekonania, że jest to coś innego, coś, czego jeszcze nie widziałem, choć znałem państwa zachodniej i środkowej Europy wcale dobrze. Rosyjskie? Chyba może dorożki i saneczki, z chołobami, a konie w chomątach i te trochę rusycyzmów w mowie. Litewskie? A toć bym się nie dogadał z nikim w mieście, gdybym mówił tym językiem. Tatarskie? Żmudzkie? Naraz wiedziałem — jakby jakieś objawienie przyszło do mnie: polskie, ale nie nowopolskie, lecz staropolskie „pur sang" czasy Rzeczypospolitej!

Dopiero mieszkając dłuższy czas w tem mieście i poznawszy wielu ludzi z różnych sfer i okolic dochodzi się do tego przekonania. Tempo życia jest tu zgoła inne, ludzie mają czas, zastanawiają się więcej i głębiej, jak gdzieindziej, uczuć swych nie noszą na dłoni, lecz w sercu głęboko zaszyte. Mówią wolniej, z namysłem, ważą słowa, ale mają one też większe znaczenie. Wszystko jest prostsze, ale też szczersze, mniej udawania, ale też wszystko w „lepszym gatunku". Jeżeli jest nędza to prawdziwa, bez osłonek, a jeżeli bogactwo, to szczerozłote, dawne, wielkie, magnackie.

Widziałem Wilno w szacie śnieżnej, chodziłem też po niem gdy ogrody zieleniły się tysiącami drzew i krzewów. Co za bogactwo form architektonicznych, co za cudne zakątki, na które złożył się martwy mur i żywa natura, co za wspaniałe kontrasty! Przypominam sobie co o tem mieście mówił ś. p. Stanisław Bohusz-Siestrzeńcewicz, znany malarz i przemiły człowiek o wielkiej kulturze. „Cóż ja mogę malować — mówił kiedyś, gdy toczyła się rozmowa na temat „malarskości" tej czy innej części Polski — w kraju dobrze zagospodarowanym, gdzie każdy dom kryty jest dachówką, a nigdzie niema walących się parkanów? Ot, nic poprostu. A tu u nas na Litwie jest jeszcze poezja, jest na co patrzeć, choć to i niema tramwaju i wodę żórawiem ciągnąć wypada, i konik jest mniejszy jak tu w Wielkopolsce, a chałupy słomą są kryte!".

Poniżej: Naokoło Wilejki rozsiadły się liczne piętrowe domki robiące wrażenie wielkiej wsi.





Podwórze jednego z gmachów Uniwersyteckich, przy ulicy Zamkowej nęci oko widza swoistym czarem.

Gdy się idzie zimowym wieczorem ulicami Wilna, gdy się widzi w migotliwem i słabem dosyć świetle miejskich latarni snujące się postacie, ubrane w futra, może się zdawać, że się żywcem wpadło w rozmowę, je o dwieście lat wstecz, że życie stanęło na martwym punkcie, że „wszystko jest po dawnemu". A gdy usłyszy się ciągnący akcent litewski, spojrzy w serdeczne oczy tubylca, wejdzie z nim w rozmowę, ma się złudzenie, że o kilka kroków dalej spotka się księcia „Panie Kochanku" Karola Radziwiłła wraz z jego bandą dworzan i przyjaciół, że zza węgła domu wyjedzie saniami pan kasztelan trocki, czy imć pan starosta żmudzki.

Nietylko mury mówią o dawnych wiekach i dawnej Polsce. Jeżeli kościoły nie mają sobie poza Krakowem równych, jeśli pałac obecnie zajęty przez urząd wojewódzki jest wspaniałym magnackim zabytkiem, przypominającym żywo „Wersal Podlaski" w Białymstoku, a mury uniwersyteckie im. Stefana Batorego budzą podziw swemi potężnemi rozmiarami, to i ludzie dostosowani są do tego. Niestety zaszczyt skatalogowania piękności wileńskich i opisania ich przypadł jednemu z oficerów niemieckich podczas okupacji, który wydał książkę pt. „Wilna, eine vergessene Kunststätte". Bo chociaż znaliśmy te zabytki i wiedzieli o nich, nikt w ostatnich latach przed wojną nie pokwapił się je udostępnić ogółowi. Dziś jest już inaczej, choćby dzięki wspaniałym pracom fotograficznym p. Bułhaka.

Zazwyczaj każdy z nas „leci" na egzotykę. Czyta się więc artykuły o dalekiej Arabji, Meksyku, Chinach czy Indjach. Tymczasem, my Polacy, jesteśmy w tem szczęśliwem położeniu, że egzotykę tę mamy tuż, tuż, tylko sięgnąć ręką po bilet kolejowy do Wilna i na Litwę!

W Wilnie, w tej dawnej stolicy Wielkiego Księstwa Litewskiego, które

sięgało od Bałtyku po tatarskie chaństwa Krymu, widzi się i czuje się wielkość dawnej Polski. Idąc temi cichemi uliczkami, noszącemi tak dziwne nieraz nazwy, jak Tatarska, Szklana, (Ghetto Żydowskie) itd. wyczuwa się majestat dawnej Rzplitej. Podobnie jak stary Rzym, Polska mogła na stołach swych synów zgromadzić wino z nad Czarnego Morza, łapy niedźwiedzie ze Żmudzi lub szynkę z łosia, a równocześnie pszeniczny chleb miechowski, soczyste owoce z Ukrainy, a obok nich garniec miodu lipcowego z Kujaw.

I co za bogactwo ciekawych typów ludzkich! Większość Wilnian prowadzi raczej zamknięty tryb życia, pokazując się oficjalnie tylko na balach, przyjęciach prywatnych i czasem u „George'a". Choć ten ostatni nie jest żadnym „palacem" nicejskim czy paryskim, to nigdy w życiu nie będę już jadł takiego szaszłyku, jak właśnie tam! Wogóle wileńska i litewska kuchnia jest wysoce smaczna i urozmaicona. Mówi się zazwyczaj o kołdunach, które jedząc przed obiadem jako przekąskę, należy koniecznie... liczyć, aby na końcu pochwalić się ich ilością, lecz jest to drobny szczegół tylko litewskiej sztuki kulinarnej. Przecież już Mickiewicz mówi o „Kucharzu doskonałym", według którego recept sporządzano obiady w Soplicowie. Nad wyraz ciekawe jest życie towarzyskie Wilna. Na pozór zamknięte, niedostępne, jakże miłem się ono okazuje, gdy się je pozna bliżej. Tak, ludzie mniej są wylani, mniej „blagują" w tonie przyjętym na terenie towarzyskim, ale są głębsi, mają więcej do powiedzenia, są — rzecz może dziwna — kulturalniejsi. Jest to kultura specjalna, nie nowoczesna, nie przypominająca drapaczy chmur, ani metra paryskiego, ani telewizji, ani też elektroluxa, ale zato bogatsza, ciekawsza, a nadewszystko prawdziwie polska, staropolska.

Ileż razy rozmyślałem nad tym dziwnym a tak kochanym krajem, siedząc u „Zielonego Sztralla", najlepszej cukierni wileńskiej na ul. Mickiewicza lub u „George'a". Obok pań elegancko ubranych, które przyszły na herbatę i ploteczki, zjawiał się jakiś ziemianin w ciężkiem futrze, z rasową, sympatyczną twarzą polonusa o pięknym, rasowym nosie i pięknie wykrojonych ustach. Bo też do dziś ziemiaństwo nadaje jeszcze ton temu miastu, tak bardzo zrośniętemu z tradycjami szlacheckiemi. Tak, tu czy tam, wszędzie w Wilnie przypomina się Nieśwież czy Lachowicze, gdzie mieszkał „wojewoda Niesiołowski stary", wszędzie widzi się typy z Soplicowa, nieraz można spotkać inkarnację klucznika Gerwazego.

Mimo jednak tych ram staropolszczyzny miasto to dziwnie nie zastygło, nie zmartwiało. Artystyczna działalność Osterwy na „Pohulance", liczne wystawy obrazów, dzielna praca Radja wileńskiego, odczyty, wszystko to utrzymuje inteligencję miejską i ziemiaństwo „au courant" życia bieżącego. Wielką stratę poniosły te strony kilka lat temu ze śmiercią Czesława Jankowskiego, jednego z najlepszych ich synów, zdolnego dziennikarza i wybitnego historyka, który umiał łączyć tę staropolszczyznę z dziwnem wyczuciem finezji literackich i intelektualnych. Ogniskiem takiem jest też Uniwersytet, którego profesorowie są często krzewicielami pięknych tradycyj Śniadeckich i Jundziłłów. Nazwiska te spotkać można w pamięci miasta na każdym kroku. Wszak i dziś jeden z reprezentantów rodziny X. Bonifacego Jundziłła, założyciela wileńskiego ogrodu botanicznego, prof. Un. Stefana Batorego Żygmunt Jundziłł, senator R. P. i wysoce uzdolniony prawnik należy do tych, którzy umieją łączyć zrozumienie dla swych czasów z subtelnem wyczuciem przeszłości, jego znaczenia i wartości, jakoteż pracę państwową z zamiłowaniem do sztuki i literatury.

Gdy jadąc na wieś w okolicę Wilna stanąłem kiedyś na jednym z pagórków, na których to szeroko rozbudowane miasto powstało podobnie jak Rzym, wzrok mój poszedł hen w dal bezkresną, ścigając chmury bieżące na niebie. Wybiegł on poza granice, które powstały na karcie geograficznej i starał się objąć te ziemie, które zrośnięte są z tem miastem i tą tradycją polską na śmierć i życie. Starałem się zobaczyć wszystkie te ziemie, które wszedłszy przez unję naszą z Litwą w orbitę polskiej kultury, stopiły się z ziemią polską w jedno wielkie mocarstwo. Starałem się dojrzeć brzegi żmudzkie szarego Bałtyku i białoruski smętny krajobraz. Myślałem też o czarnoziemiu ukraińskim i o Podolu i tylu innych ziemiach, które figurowały za czasów Rzeczypospolitej w tytulaturze króla polskiego. Nie chodziło mi o zestawienie historyczne, lecz o optyczne i myślowe zesumowanie tych wszystkich wartości intelektualnych i kulturalnych, które Polacy włożyli w kraje poruczone ich opiece. Trudno! Traktat ryski i życiowe zjawiska odcięły nas od tych ziem, wyrzucając je poza biało-czerwone słupy graniczne. Ale czyż nie mamy dosyć sił żywotnych, dosyć prężności moralnej i cywilizacyjnej, aby nie pomyśleć o związaniu ich z dzisiejszą Polską, jak czyni to Anglja ze swemi dominjami? Czyż właśnie to dążenie nie jest nam najbliższe? Niestety, rubieże wschodnie Rzeczypospolitej, mimo jasnej pogody ginęły za obłokami, których oko nie było wstanie przeniknąć.

J. Godziemba.



Powyżej: Jedna z najbardziej charakterystycznych uliczek wileńskiego ghetta, które posiada swoisty urok staroświecczyzny.







Od góry: Ratusz wileński, pochodzący z czasów Stanisława Augusta. Opodal charakterystyczne dorożki z olbrzymiemi kołami gumowemi. — Uroczy zaułek wileński na ul. Bernardyńskiej — Wilno posiada wiele zakątków, przypominających szczerą wieś. Oto widok na mury okalające kościół Bernardynów.



Dorożkarze wileńscy stanowią jeden z najciekawszych typów ulicznych i posiadają zwykle dobroduszne uśmiechnięte twarze.

CO ✶ NAM ✶ POWIEDZIAŁY

2 GWIAZDY POLSKIEGO SPORTU

Obie panie mogły sobie wybrać dowolny temat: albo ten nieszczęsny miljon, albo „najdramatyczniejszy moment w życiu". Będąc zgodny z natury, postanowiłem nie narzucać swej woli i zainteresowań osobistych. Tak prywatnie i — dla siebie wolałbym... miljon!

Panna Jadzia Wajsówna, nasza przemiła rekordzistka w rzucie dyskiem, dowiedziawszy się co kryje się za tym serdecznym uściskiem dłoni, jakim uczciliśmy rok niewidzenia się — uciekła jak szalona. Jak ścigany zając. Dopiero teraz zrozumiałem jak mogła, prócz zwycięstwa w rzucie kulą i w skoku wzwyż, zakwalifikować się jeszcze do finału w biegu na 80 m przez płotki, mimo swych 60 kg żywej wagi, do których przyznaje się otwarcie! Ba! I modli się jeszcze o dalszych conajmniej pięć, aby mogła zrewanżować się Niemce Mauermayer, która dobrała się na całego do jej światowego rekordu w dysku.



Mimo nadwyraz wyczerpujących wyczynów sportowych p. Wajsówna nie traci nigdy dobrego humoru.

Ostatecznie jednak, zrobiwszy swój życiowy rekord w biegu na 50 m, dogoniłem ją. Panna Jadzia potknęła się bowiem i nosek jej zrobił znajomość z mokrą po deszczu trawą stadjonu krakowskiego, na którym odbyły się w ub. tygodniu kobiece mistrzostwa Polski w lekkiej atletyce. Siadam i ponawiam prośbę.

— Najdramatyczniejszy moment w mem życiu? Nie panie, ja jestem jeszcze młoda i nie miałam żadnych dramatycznych momentów.

— No to może miljon...

— A na cóż mi miljon, jak długo mama daje mi jeść? A zresztą wie pan cobym zrobiła? Upiłabym się na umór po raz drugi.

Lojalnie trzeba stwierdzić, że odpowiedź tę podsunąłem już sam pannie Jadzi. Z rozpaczy i z obawy, że nie dostanę wogóle żadnej odpowiedzi. A to „po raz drugi"? Nie, tego już nie mogę zdradzić. Ostatecznie człowiek jest czasami dżentelmenem...

Na zakończenie przyjemna niespodzianka. — Niechże panu będzie i ten moment — mówi panna Jadzia. — Dotychczas nie miałam jeszcze żadnych, ale może przyjdzie. Jakbym tak np. jutro... wygrała w finale płotków a przegrała w dysku!

Niestety i na szczęście nie stało się to. Niestety — ponieważ niema wobec tego dramatycznego momentu, na szczęście — ponieważ... może się to stać jeszcze i wtedy ankieta nasza otrzyma wreszcie naprawdę odpowiedź. Co nie daj Boże, Amen.

* * *

Cóż za dziwny kontrast!

Tam żywe srebro, temperament, orgje błyskotliwych iskierek humoru, ale i nerwy — kłębek nerwów czasami. (Znów nie wypada zdradzać dalszych tajemnic). Tu spokój, opanowanie się, nadmierna na wiek powaga i świadomość celu.

A jednak mają coś wspólnego — prostotę i niewymuszoność mimo zupełnie odmiennych środków i przejawów ekspresji.

Stanisława Walasiewiczówna, najszybsza kobieta świata, opowiada o dziwnej przygodzie, jaką miała w r. 1931 czy 1932 na mistrzostwach Ameryki w New Jersey. W czasie rzutu dyskiem przebiegł nagle przez boisko jakiś widz i padł nieprzytomny ugodzony dyskiem w głowę. Okazało się: pęknięcie czaszki. Nikt nie wróżył mu więcej, jak dwa dni życia. Nieszczęsny dysk wyleciał z ręki panny Stasi...

Walasiewiczównę aresztowano z miejsca jeszcze na boisku i odwieziono na komisarjat. Po przesłuchaniu zwolniono ją pod warunkiem jednak, że nie opuści miasta, do czasu definitywnego zakończenia sprawy. Gorzej: nie wolno jej było opuszczać mieszkania.

Była sobota i przyrzeczono, w uwzględnieniu niezwykłych okoliczności, załatwić wszystko natychmiast w poniedziałek.



P. Walasiewiczówna utrzymuje się w dalszym ciągu w pierwszych szeregach wielkich gwiazd sportu światowego.

— Siedziałam w domu bardzo przygnębiona. Żal mi było straszliwie tego człowieka. Życie ludzkie to nie zabawka. Nie ponosiłam tu żadnej winy i zapewniono mnie odrazu, że nie może mi się nic stać, ale zawsze pozostawało jakieś niesamowite uczucie.

Walasiewiczówna mówi to — jak wszystko co mówi i czyni — spokojnie i naturalnie. Bez afektacji, bez podnoszenia głosu. I mówi po polsku doskonale. Płynnie i czysto z pewnym tylko bełkotliwym przydechem, zrozumiałym zupełnie. Zawsze i stale, przy zetknięciu się z nią i w przyjacielskich pogawędkach, podziwiać się musi tę staranność w wymowie i zadziwiającą czystość języka. Trzeba zważyć, że całą swą młodość, całe życie niemal spędziła na obczyźnie, w Ameryce, która miała się stać dla niej drugą ojczyzną i nie stała się nią na szczęście.

Wracamy do tematu po tej mimowolnej dygresji, która narzuciła się jednak sama.

Cała historja skończyła się przecież szczęśliwie. Dla Walasiewiczówny i dla jej ofiary. Rekordzistkę świata przeproszono jeszcze, nieszczęsnego widza ukarano grzywną za niedozwolone wbiegnięcie na boisko w czasie zawodów.

Czyż można ukarać grzywną nieboszczyka? Nie, wylizał się jakoś z tego i przeleżał się tylko miesiąc w szpitalu.

A teraz próbuję pytania z miljonem.

— Tyle mi naprawdę nie trzeba do szczęścia. Kupiłabym sobie willę gdzieś nad morzem, ale musiałyby tam być i góry. Koniecznie. Dużo świeżego powietrza. Jakiś ogród cichy i przytulny. Kilka kortów tenisowych... Oto wszystko.

Potem rozmawialiśmy już tylko „prywatnie" o tem i owem. Walasiewiczówna nie zdążyła jeszcze właściwie odpocząć po podróży z Ameryki a już myśli o powrocie, który nastąpi w jesieni. Mówi o planach na przyszłość, o tem, co będzie robić, jeżeli nie wygra miljona...

J. Roha.

SPAŁA
ŚWIAT WIELKIEJ PRZYGODY



Młodzi dobosze zapowiadali zbliżającą się defiladę.

Wielką Przygodą — największą, jaka może wyjść naprzeciw małego zucha, jest pełne tajemnic życie... Zuch nie zna jego niebezpieczeństw, wita życie beztroską radością, jaką podsuwają mu starsi koledzy harcerze. Zagubione w labiryncie lasu szlaki indyjskich wodzów, totemy, tomahawki, drewniane „kwadrygi", — to są narazie wielkie przygody malców, z których wyrosną dopiero harcerze. A celem właśnie harcerstwa jest utrzymanie wysokiego napięcia i polotu ideowego młodzieży, rzetelne przygotowanie jej do życia, zahartowanie woli, umocnienie charakteru, danie młodzieży potrzebnych jej umiejętności, wskazanie wielkich wartości w umiłowaniu pracy.

Dorobek 25 lat pracy, dni ofiarnych walk o wolność Ojczyzny, kształtowanie niepodległego życia społeczeństwa polskiego, czujne i bystre spojrzenie w przyszłość, poparte niezłomną wolą walki o potęgę ducha i Państwa Polskiego — oto Wielka Przygoda polskiego harcerstwa, którą poznać i której przypatrzeć możemy się w Spale, dokąd zjechało trzydzieści tysięcy harcerek i harcerzy z Polski i spoza granic Rzeczypospolitej.

A tymczasem harcerze w swem leśnem państwie w Spale bynajmniej nie próżnują. Nie robią z swego życia wystawy. Od rana do nocy wre tu nieustanna praca, nieobliczona na pokazy i rekordy. Jej jedynym celem jest ukształtowanie takiej potęgi ducha, woli i ciała każdego harcerza, wskrzeszenie takiej idei braterstwa — byśmy wszyscy wiedzieli, że śmiało będziemy mogli iść na spotkanie nieznanej, nadejść dopiero mającej Wielkiej Przygody, w której napewno zwyciężymy.

Jakże niemiło jest z założonemi rękami przypatrywać się pracującym! Lepiej cicho odejdźmy od nich, od tych trzydziestu tysięcy harcerek i harcerzy, a wróciwszy w ściany domów naszych — zastanówmy się nad tem, cośmy widzieli. Przeczytajmy ich przykazania, rozważmy czyny przez nich dokonane, przekonajmy się, że idee, którym wiernie służą i służyć pragną — powinny być i naszemi ideami.

Kto raz stał się harcerzem — nie przestanie nim być! — głosi jedno z haseł najpotężniejszego młodego ruchu w Polsce. — A tak przecie łatwo każdemu z nas zostać harcerzem!

Stan. Witold Balicki.







Na prawo: Przez Pilicę w Spale wybudowali harcerze kilka mostów i oryginalnych kładek.

U góry: Harcerze z I. drużyny kieleckiej ... rują w defiladzie z narzuconemi na mundury ... barwnemi ... leckiemi paskami.

Na lewo: Ogólny widok stadjonu w Spale — na którym zgromadziło się 20 tysięcy młodzieży harcerskiej, by wysłuchać Mszy św. polowej i przedefilować przed Panem Prezydentem R. P.









Z lewej od góry: Pan Prezydent R. P. z małżonką w czasie uroczystej Mszy św. polowej. — Harcerze drużyn warszawskich w defiladzie. — Poczty sztandarowe drużyn harcerskich z Poznania. — Harcerki wodne z drużyn wołyńskich.



Harcerz-fanfarzysta daje sygnał do oficjalnego rozpoczęcia zlotu.



Harcerki drużyn warszawskich defilują przed Panem Prezydentem R. P., przedstawicielami rządu, władzami harcerskiemi i wielotysięcznym tłumem publiczności.

W CZERWCOWĄ NOC
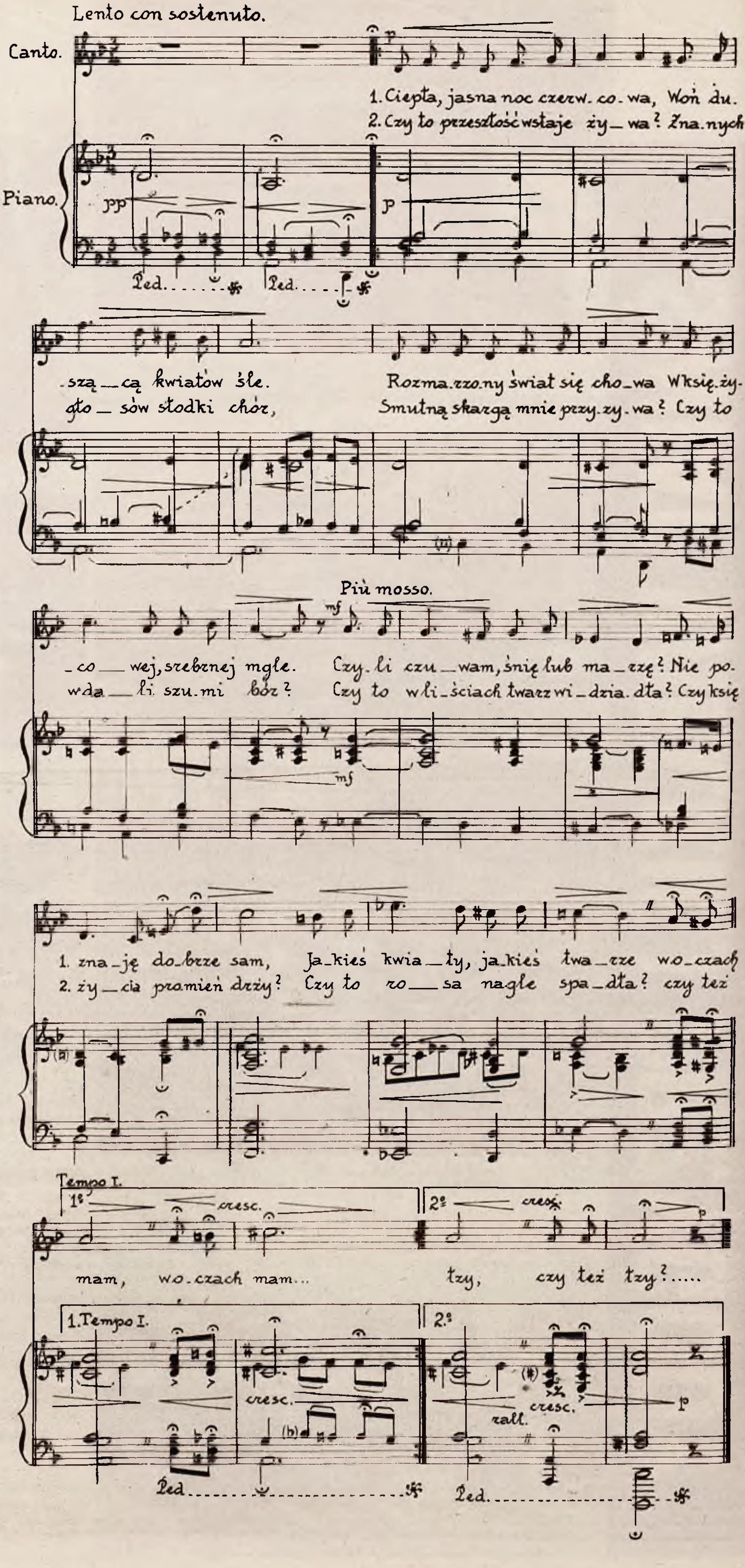
PIEŚŃ

MUZYKA: Adama Lenczowskiego
SŁOWA: Adama Asnyka (El-y)

Autor naszego nowego przeboju muzycznego p. Adam Lenczowski jest twórcą licznych utworów, cieszących się zasłużonym powodzeniem, zarówno w Polsce jak i zagranicą. P. Lenczowski jest Krakowianinem z pochodzenia, mieszka zaś obecnie w Warszawie i bierze żywy udział w muzycznem życiu stolicy. W ostatnich czasach liczne utwory jego zyskały sobie uznanie tak publiczności, jak kolegów-muzyków, zwłaszcza walc angielski „Do widzenia“ (repertuar Romanówny), slow fox „Marie“, walc angielski „Pamiętasz dzień jesienny“ itd. Jest on również autorem ilustracji muzycznej sztuki „Sezamie otwórz się“. Obecnie utwory p. Lenczowskiego ukażą się w nakładzie firmy wydawniczej Editions Smyth na Francję, Anglję itd. — Autor słów do walca angielskiego „Good Bye“ p. Juljan Krzewiński należy do zdolnych librecistów polskich i jest autorem również libretta do opery Różyckiego „Casanova“.



P. Adam Lenczowski, autor naszego przeboju muzycznego.
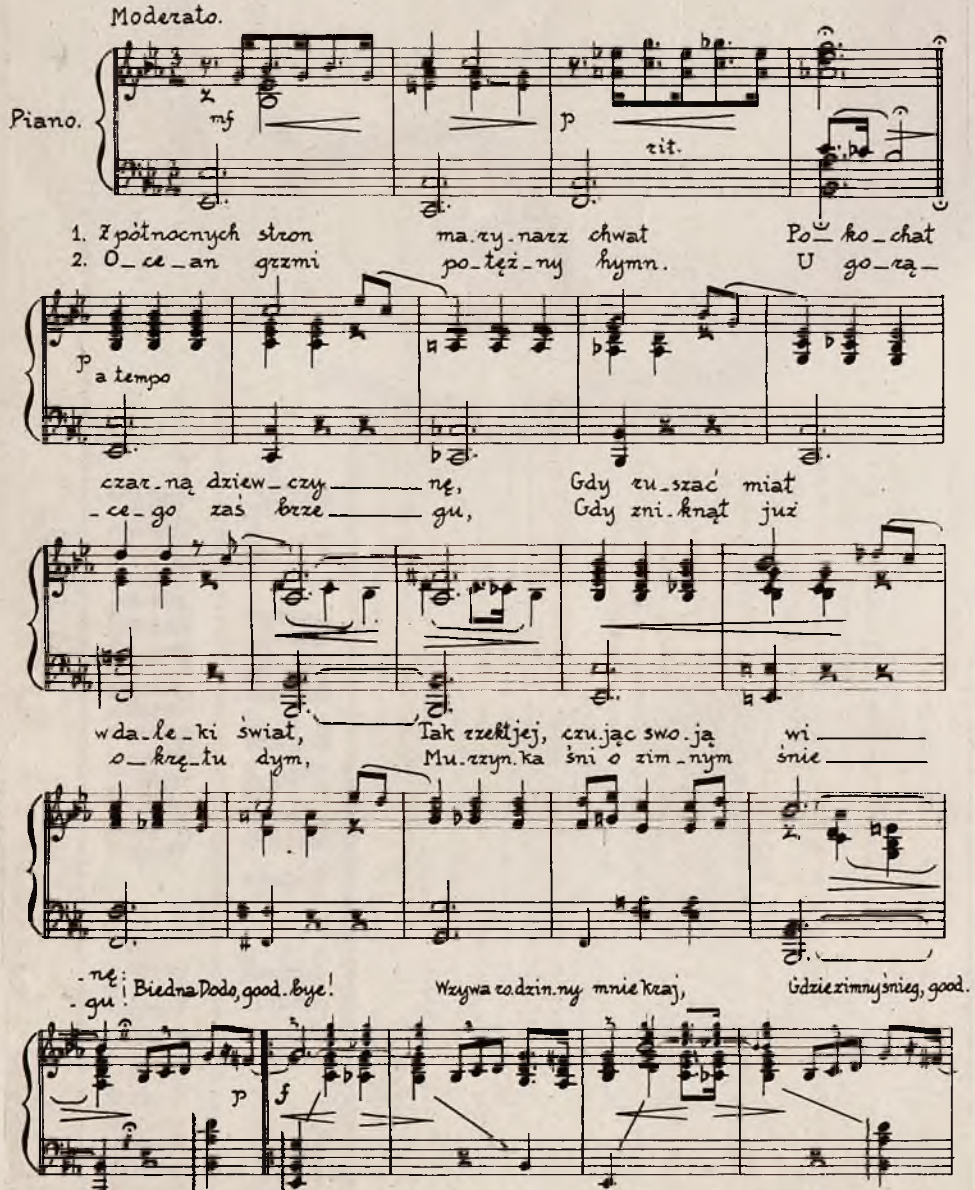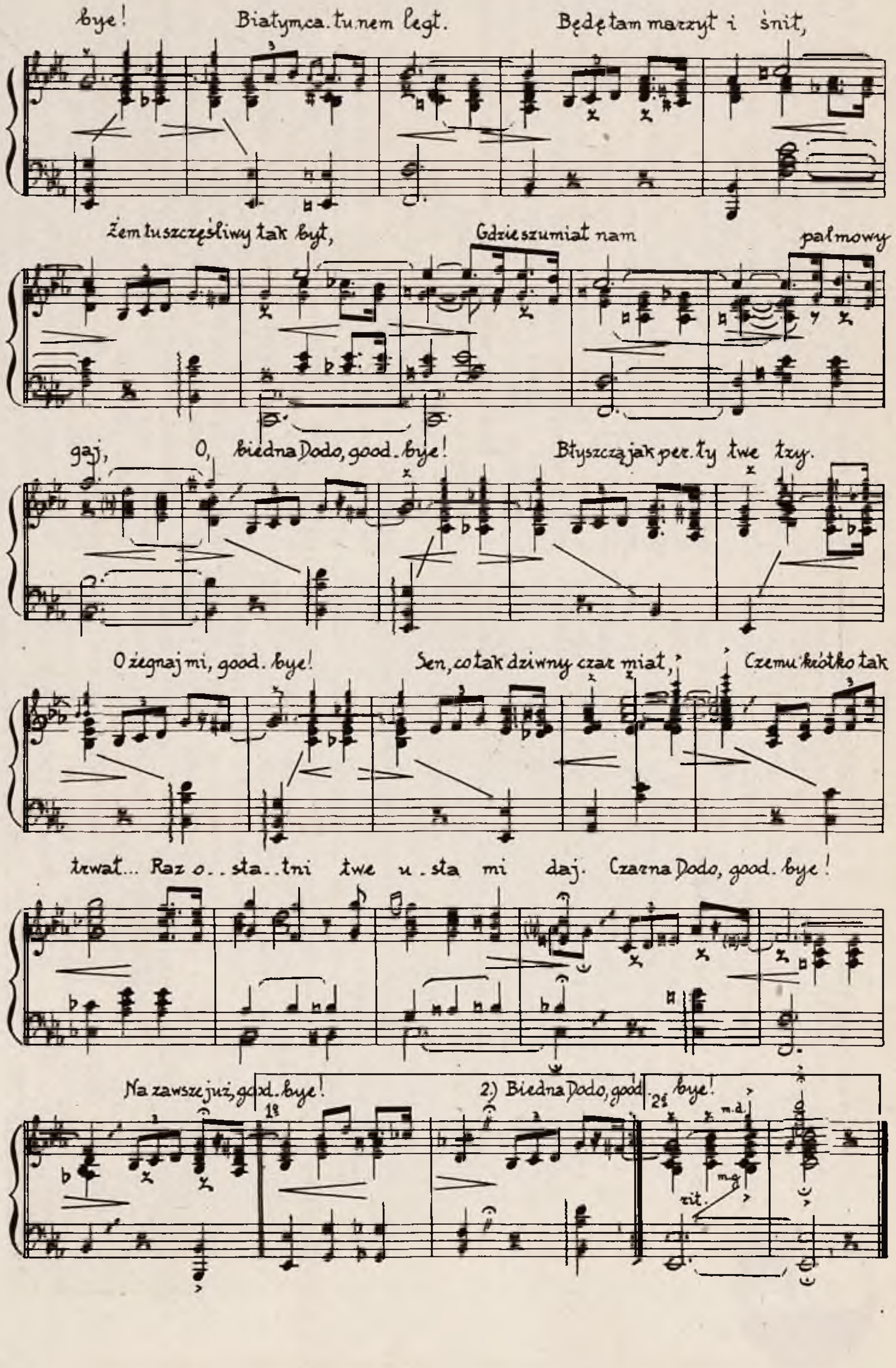


GOOD-BYE!

WALC ANGIELSKI

SŁOWA: Juljan Krzewiński MUZYKA: Adam Lenczowski

Wobec tego, że do zamieszczonego poniżej utworu muzycznego, który ukazał się w numerze 19 „Asa" zakradło się kilka omyłek, zamieszczamy go ponownie.





Gdyby ktokolwiek tak, jak ja był dziesięć lat zgórą o tysiące mil oddalony od swej ojczyzny i skazany na przebywanie przez wszystkie te lata z tymi samymi ludźmi, w tem samem miejscu, czyniąc przytem wiecznie jedno i tosamo — człowiek taki miałby tylko jedno wielkie pragnienie, jedną tęsknotę: wrócić do domu! Chociaż posiadam wiele miljonów wielbicieli mej sztuki, jestem najbardziej samotną istotą w Hollywood i dlatego teraz właśnie uczyniłam to, co mi dyktowało moje uczucie: powróciłam do domu. W chwilach mej wielkiej tęsknoty myślałam zawsze o tem, aby także raz w Szwecji zrobić choć jeden film i to najchętniej w atelier Rasunda, które było kolebką mojej filmowej karjery. W Rasunda pracowałam po raz pierwszy we filmie „Gösta Berling". To był mój pierwszy film wogóle. Partnerami moimi byli Lars Hansen i Jenny Hasselquist, artyści o światowej sławie. Kierowali tem przedsiębiorstwem Wiktor Seastrom i Maurice Stiller. Tam powstał cały szereg wielkich narodowych filmów, pomiędzy innemi także „Skarb pana Arne".

Tęsknota znalezienia się w moim kraju, wśród mego ludu, w otoczeniu podobnie myślących ziomków, to tęsknota mego całego życia. Wieleż razy tęskniłam w Hollywood za ojczystem morzem i za jego groźnemi a surowemi burzami. Za ojczystem bladem słońcem, za majestatyczną kolorystyką szwedzkiej wiosny. Nadewszystko zaś odczuwałam brak dźwięków mej własnej mowy, głosów mych przyjaciół, rodzinnych kątów i bliskich mi twarzy, słowem charakterystycznych znaków i dźwięków mej drogiej ojczyzny. Taką już jestem. Moje życie jest wielokrotnie przedmiotem ciekawości, interwiewów dziennikarskich — i to właśnie zraża mnie coraz bardziej do otoczenia. Nie lubię, jeśli obcy ludzie starają się zajrzeć w moje prywatne sprawy. Nuży mnie, jeśli obcy albo przygodni znajomi podziwiają mnie. Największą radością moją to zabawa z dziećmi. Czynię to jednak także bardzo rzadko, jeśli są przytem obcy ludzie. Nie cieszy mnie nigdy, gdy otaczają mnie zaciekawione oczy. Tak to powoli wyrosła ściana pomiędzy mną a tymi, którzy mnie podziwiają. Moje prywatne życie jest zamkniętą księgą i powinno dla innych zostać tajemnicą.

W rzeczywistości żyję w Hollywood bardzo skromnie. Kucharz, pokojówka, szofer i ogrodnik, — oto moja służba, i to dopiero w ostatnich latach. Swego czasu, gdy w r. 1925 przybyłam do Hollywood i zapytano mnie, gdzie chciałabym mieszkać — odpowiedziałam, że najchętniej zamieszkałabym prywatnie przy jakiejś solidnej rodzinie. Zczasem jednak wzrastająca potrzeba samotności nakazała mi założyć swój własny dom. Najlepszym wypoczynkiem dla mnie to pływanie, wycieczki piesze, kąpiele słoneczne, a gdy nadejdzie pora deszczów lubię pasjami pędzić w dzikim galopie konno, podczas którego deszcz odświeżająco bije w twarz.

Sportem moim, to odwiedzanie małych restauracyj i maleńkich trzeciorzędnych teatrzyków, gdzie wiem, że mnie nikt nie rozpozna. Często zmieniałam miejsce mego zamieszkania. Było to wtedy, kiedy już sąsiedztwo dowiedziało się, że mieszkam w danem miejscu i kiedy ludzie zaczęli rozpytywać się „jak to żyje Greta Garbo"? Taksamo nie mogłam się nigdy przyzwyczaić do bywania na premjerach moich własnych filmów, albo filmów innych gwiazd. Bardzo rzadko wychodzę w nocy, a jeśli to czynię, to zawsze w ciemnem ubraniu i zawoalowana.

Nie stroniłam nigdy od ludzi, zanim nie zostałam gwiazdą. Owszem, lubiałam bardzo nawet obcować z ludźmi i prowadzić z kilkoma przyjaciółmi normalne towarzyskie życie. Teraz jednak nie mogę prawie nigdzie bywać, aby zaraz nie otaczał mnie tłum ludzi. Lubię nieoczekiwane odwiedziny, podczas których wielką przyjemność sprawia mi rozmowa przy kominku o przeróżnych sprawach mojego zawodu, o nowych zjawiskach w sztuce i w literaturze. Ale gdy przypadkowo zadźwięczy dzwonek, staję sie niespokojna i kiedy przychodzą inni goście, uciekam. Ciekawość publiczności przeraża mnie. Artysta powinien bowiem oszczędzać swych sił duchowych, chowając je dla swoich dzieł.

I dlatego niech nikt nie wierzy, że mam pretensje do jakiegoś szczególnego miejsca w świecie. Taksamo niemądrą gadką jest to, że nie objawiam żadnego zainteresowania dla strojów. Wprost przeciwnie, niezwykle interesuję się tymi sprawami. Jak to może potwierdzić projektodawca mych sukien, Adrian, kładę szczególny nacisk na odpowiedni wygląd mych strojów, na ich kolor, linję i dobór materjału. Adrian projektuje wszystkie moje suknie, wszystkie, które służą do mego osobistego użytku. Nigdy nie zdobyłam się jednak na to, aby „tworzyć" modę. Inne panie zastanawiają się i są w rozterce, czy mogą nosić płaszcz, suknię albo kapelusz, które zostały zrobione dla mnie. Wielokrotnie jednak dopiero wtedy wprowadzają te modele u siebie, kiedy zobaczą je na jakiejś innej gwieździe, może dlatego, że spostrzegają, iż również one wyglądają w nich uroczo.

Ogarnęła mnie wielka tęsknota i wstręt do sławy, rozgłosu i bogactwa. Uciekłam od mego pozłacanego więzienia, od męki popularności. Działać i żyć swobodnie tak, jak po temu w danej chwili się ma ochotę, oto moje marzenie. Nareszcie jestem w domu!

„NIE TRZEBA ZAZDROŚCIĆ GWIAZDOM"

MÓWI GRETA GARBO.



KONTRASTY. — Jak i inne zjawiska w życiu, tak i uroda kobieca zyskuje na kontraście — blondynka Margaret Ehrlich i jej koleżanka czarna Poppy Wilde — są młodemi, ale już błyszczącemi urodą gwiazdkami filmu.



PIERNIK TORUŃSKI.

Artystyczny żywot staropolskich łakoci.



Piernikarze toruńscy często „portretowali“ osobistości historyczne. Na zdjęciu król Zygmunt III i królowa w strojach koronacyjnych.

„Gdańska gorzałka, toruński piernik, krakowska panna, warszawski trzewik, — najlepsze rzeczy w Polsce!“ — mówi stare przysłowie, sławiące znane z wiekowych tradycyj łakocie, któremi słynie prastary gród Kopernika.

Uznanie dobroci toruńskich pierników łączy się z podziwem wytwornych artystycznych ich form, wraz z słodkim zapachem bije od nich miły wdzięk przeszłości. Ze starych drewnianych form wybiega wciąż na świat nowy korowód miniaturowych osóbek, odzianych w bogate, pompatyczne szaty: królowie, święci, bogowie, rycerze, damy, żołnierze. Te oryginalne miejscowe zabawki-łakocie, nabywane tak chętnie przez licznych turystów, znane są w całej Polsce, cieszą dziatwę, bawią i interesują estetów.

Bo toruński piernik figuralny naprawdę jest asem wśród innych pokrewnych mu łakoci, pysznym wyglądem pobija lwowskie, krakowskie, poznańskie i śląskie. A jak ubogo i skromnie wyglądają przy nim te zwykłe ludowe, kiermaszowe serca i mikołajki piernikowe małopolskie czy wileńskie, — jak prostaczek przy dumnym magnacie.

Sława toruńskich pierników opiera się na kilkowiekowej tradycji! Zajadał je i to pewnie z rodzinnego pieca mały Kopernik, — wypiekano je na uroczystościach koronacji i zaślubin królewskich, — radcy miejscy łagodzili nimi szwedzkie pretensje. Olbrzymi piernik posłany w darze Katarzynie Wielkiej wzbudził podziw na dworze. Bez toruńskiego piernika nie zjawiał się przed swoją imością żaden szlagon, wracający do domu po sprzedaniu pszenicy w Gdańsku. Toruński piernikarz wywieszał z dumą swoje godło na targach i jarmarkach w Poznaniu, Inowrocławiu, Bydgoszczy, Grudziądzu, Gdańsku, Kwidzyniu, Królewcu, Kłajpedzie i Tylży. Nabywano je i w warszawskim Marywilu.

Toruńskie „dulciaria“ albo „ciba piperata“ cieszyły się przywilejami królewskiemi i specjalną ochroną od XVI weku! Rody piernikarzy czyli kichlarzy prowadziły swój przemysł dziedzicznie przez wieki. Córki ich otrzymywały w wianie wraz z warsztatem całe mnóstwo starych form i cetnary kilko a nawet kilkonastoletniego zaczynionego ciasta (bo dobroć jego zależała od wieku!)

Formy nigdy nie traciły na aktualności, wygniatano wciąż ciasto z starych wzorów, nie zważając na to, że ci piernikowi kawalerowie i damy ukazują się publiczności w bardzo już niemodnych szatach. Co więcej, widoczna jest tendencja archaizowania nowych form, nadając rzeźbionym n. p. w XIX w., charakter barokowy lub rokokowy.

Owe formy rzeźbili pracowicie w lipowem czy gruszkowem drzewie terminatorzy piernikarscy, o ile wykazywali uzdolnienie w plastyce. Wykwintniejsze formy wykonywali jednak zawodowi snycerze toruńscy, słynący ze swej misternej koronkowej roboty, którą podziwiamy na zachowanych organach, bramach, drzwiach i meblach. Formy ich dłuta wyróżnia styl, harmonja linij i proporcja kształtów. Pomysły i wzory brali często z ludowych drzeworytów i artystycznych miedziorytów. Płasko modelowane figury, w szatach pokrytych bardzo gęstą ornamentyką, przypominają postacie świętych malowane na barokowych ołtarzach a obleczone nieraz w suknie z srebrnej wytłaczanej blachy. Podobne też w charakterze figurki oglądamy na dawnych dzwonach, — są to postacie patronów, nieraz bardzo artystycznie wymodelowane przez ludwisarzy. Formy toruńskich pierników dekoracją i stylem wykazują wpływy holenderskiej sztuki promieniującej na Polskę przez Gdańsk.

O ile u nas w kraju powszechnie wyrób zdobnych pierników związany jest z okresem świąt Bożego Narodzenia, — to przeciwnie figuralne pierniki toruńskie dostosowywały się swą wielopostaciowością przez cały rok, do dni świątecznych i uroczystych. I tak na Boże Narodzenie wypiekano figurki niemowląt w powijakach, ryb, gwiazd, aniołów, — na dzień Trzech Króli plakietki z hołdem Mędrców w stajence, — dzień św. Jerzego, patrona rycerstwa oraz Dworu Artusa toruńskiego obchodzono wypiekiem jego figury na koniu, w zbroji, przebijającego smoka. W okresie Wielkiej Nocy ukazywały się piernikowe sceny z Męki Pańskiej, baranki i pelikany symboliczne, — dalej w ciągu roku sprzedawano figury Matki Boskiej, św. Mikołaja. W uroczysty dzień św. Katarzyny obdarowywano dziatwę słynnemi „katarzynkami“. W zbiorach starych firm leżą pomieszane (podobnie jak i w sztuce i literaturze barokowej) figury z Starego Testamentu, mitologiczne i alegoryczne, więc: Bachus, Wenus, Herkules, Janus, Syrena, Adam i Ewa, Jozue i Kaleb, Dawid, Goliat, Salome z głową św. Jana i inne. Tłoczono też wiele figurek zwierząt swojskich i egzotycznych. Zachowało się wiele form herbowych, jak n. p. herb miejski Torunia, Orzeł Polski, Gryf Pomorski i herby szlacheckie. Wiek XVII-y zostawił nam postacie króla Zygmunta III i jego żony Konstancji w strojach koronacyjnych z 1605 r, oraz Władysława IV-go i Cecylji Renaty z okresu zaślubin królewskich z 1637 r. Z tego okresu pochodzi też wspaniały królewski medalion.



Powyżej: Ulubionym tematem ilustracyjnym przy wyrobie pierników były sceny z Biblji i z mitologji.

Obok: Forma piernikarska z lipowego drzewa, jaką posługiwano się przy wyrobie pierników.

Echem przeżyć wojennych Torunia w XVII w. są figurki strojnych szwedzkich oficerów, chorążych, trębaczy, oraz anioła z napisem: „Wiwat pokój“. Niespokojne toruńskie rokoko okazuje nam przeważnie wizerunki wojskowych grenadjerów, kirasjerów, huzarów, dragonów i orły rosyjskie, popiersia Kościuszki i Bonapartego. Piernikarz w okresie „biedermajeru“ wypiekał ozdobne serca, liry, kosze kwiatów i jako nowość: lokomotywy.

Nowożeńcy otrzymywali w prezencie pierniki weselne: kawalera i damę, koguty, gołębie i scenki frywolne z wierszykami. Dzieciom dawano żołnierzy, zwierzątka i tablice z abecadłem. W czasie karnawału kursowały figurki błaznów i arlekinów. Grzeczny a oszczędny kawaler mógł damie wręczyć piernikowe rękawiczki, zamiast prawdziwych, jak to było zwyczajem w czasach renesansu.

Niespełna tysiąc starych form piernikarskich, przechowanych dziedzicznie u właścicieli (Weese, Thomas, Buchniewicz) oraz w Miejskiem Muzeum, — opowiada nam o dawnym Toruniu i jego sztuce, która się tak silnie tu zakorzeniła, wspierana przez miejscowy, bogaty i rozmiłowany w zdobnictwie patrycjat.

STANISŁAW DĄBROWSKI.



KSIĄŻĘ z „trente-et-quarante"

Powieść Williama J. Makina. 21 Tłumaczenie autoryzowane Jana Maleszewskiego.

ILUSTROWAŁ J. M. BRZESKI

— A pan musi zrozumieć pułkowniku, że tej zbrodni nie popełniłem.

— Lecz mimo to Wasza Wysokość zbiegła.

— Miałem po temu swoje powody!

— Oczywiście. Dla tych właśnie powodów musieliśmy śledzić Waszą Wysokość.

— Chciałbym wiedzieć pułkowniku, tak tylko z ciekawości, jakim sposobem panowie odkryli to miejsce? — zapytał się z zainteresowaniem książe Sergjusz.

— Ot, poprostu przez pewne niedopatrzenie z pańskiej strony książe Sergjuszu! — Zauważył pułkownik z uśmiechem. Gdy Wasza Wysokość wręczyła cygance poprzedniej nocy pieniądze zamieszała się też kartka, podpisana przez Marka Manna, na której widniały wskazówki co do tego domu. Jeden z naszych ludzi będących w kontakcie z cyganką zobaczył kartkę i mieliśmy już wszelkie potrzebne wskazówki. Trzy godziny temu otrzymaliśmy od naszego człowieka informacje o pańskiej ucieczce i byliśmy zdania, że należy tylko trochę poczekać, aby znaleźć się w towarzystwie Waszej Wysokości.

Teraz znów książe Korawji musiał się uśmiechnąć pod wąsem.

— Muszę przyznać, że gościnności panów nie mogę nic zarzucić.

Pułkownik spojrzał się na księcia i rzekł:

— Bardzo dziękuję za uznanie, lecz chciałbym przystąpić do interesów. Mam nadzieję, że i nadal będziemy mogli być na usługi Waszej Wysokości. Niezadługo opuszcza port w Southampton statek, jadący do Buenos Aires. Pozwoliliśmy sobie zamówić dla Waszej Wysokości miejsca na statku, podając prozaiczne nazwisko pana Joshua Thompsona. To też proponowałbym Waszej Wysokości udanie się dzisiaj na statek, oczywiście w odpowiednim przebraniu i będzie pan mógł wejść w posiadanie biletu pana Thompsona. Przypuszczam, że nie będziemy mieli żadnych trudności w uniknięciu pościgu Scotland Yardu.

Artur słuchał z wzrastającym zdziwieniem słów swego przygodnego gospodarza.

— Ale cóż powoduje tak nagłe zajęcie się mojem bezpieczeństwem? — zapytał. Dlaczego nie chcecie oddać mnie w ręce Scotland Yardu?

Pułkownik potrząsnął głową.

— Właściwe czynniki zdecydowały, że byłaby to wielka omyłka taktyczna, a nawet polityczna.

— Lecz dałoby to wam możność zobaczenia mnie jako skazańca, a może nawet przyglądania mi się nawet na szubienicy.

— Może niektórzy z nas, — odparł pułkownik poważnie, — nie byliby zadowoleni z tego widoku. W każdym razie jednak echo tego zdarzenia byłoby w Korawji zbyt niebezpieczne. — Gdyby Waszą Wysokość skazano tutaj na śmierć, to zwolennicy Jej w ojczyźnie uważaliby pana za męczennika.

Twarz Cheshama przybrała złośliwy wyraz.

— Jakkolwiek losy mojego kraju leżą mi bardzo na sercu, to jednak nie mam zupełnie zamiaru stać się męczennikiem w tych okolicznościach.

— Zupełnie rozumiem uczucia Waszej Wysokości i przyznam się, że ułatwia to znacznie moje zadanie. Jestem upełnomocniony przez mój rząd do ofiarowania Waszej Wysokości nietylko pomocy celem wyjazdu z tego kraju, ale również mam ułatwić przejazd do Buenos Aires, a wkońcu przekazać na ręce Waszej Wysokości kwotę tysiąca funtów szterlingów.

— Jesteście naprawdę bardzo hojni,— zauważył Artur. — Ale jakież są warunki tej transakcji? — zapytał.

Pułkownik zapalił papierosa, jak gdyby chciał mieć więcej czasu do namysłu i patrząc się badawczo na Artura zaczął mówić wolno i dobitnie.

— Warunkiem jest, aby Wasza Wysokość zrezygnowała ze wszystkich praw do tronu Korawji zarówno dla siebie, jak też dla swych sukcesorów. Ot, drobna formalność, książę Sergjuszu! Mam nawet w kieszeni odnośny akt ułożony przez ambasadora. Skoro pan go podpisze, a porucznik Mont i Simonitz wystąpią jako świadkowie, wszystko będzie załatwione.

Wypowiedziawszy te słowa pułkownik wyjął z kieszeni duży pergamin, złożony w kilkoro i odpowiednio opieczętowany. Chesham rzucił na niego okiem — i sięgnął po nowego papierosa. Dokument zawierał liczne, bardzo szumnie brzmiące zdania i przypominał jakiś królewski manifest.

Czytając pergamin mający Artura pozbawić fikcyjnego tronu, zaczął on rozmyślać nad swoją obecną sytuacją. Jak mógł sądzić z pozorów, Korawiańczycy bez żadnych zastrzeżeń przyjmowali fakt, że właśnie on, Artur Chesham, jest księciem Sergjuszem Łobanowem. Widocznie zmarły, którego odwieziono do jakiejś londyńskiej kostnicy dobrze utaił tajemnicę swej osoby. Dziwnym zbiegiem okoliczności, powtarzającym się nieraz w życiu, wybór Marka Manna, a raczej jego córki padł właśnie na niego, zrujnowanego gracza, wracającego do domu z Monte Carlo. Stał on się w ich ręku manekinem, którym mogli posługiwać się w swych celach. Manekin ten nietylko wszystkich zdołał wywieść w pole, lecz zaczął nawet grać polityczną rolę wśród korawiańskich rojalistów i republikanów. Nikt nie poznał się na tem, że przecież był on tylko fikcyjną postacią nie mającą nic wspólnego z dalekim krajem, który miał się stać polem eksploatacyj Marka Manna.

Mimo wszystko pozostał przecież tym, kim poprzednio był. Zwykłym młodym człowiekiem, którego wciągnięto w całą sieć nieprawdopodobnych przygód, który musiał znosić atentaty na swoje życie, tułać się, uciekać, by wkońcu dostać się w ręce swych korawiańskich nieprzyjaciół. Obecnie manekin znajdował się w potrzasku, i został pobity na całej linji. Pocóżby miał w dalszym ciągu kontynuować tę dziwną grę?

Lecz mimo wszystko ani na chwilę nie stanął wobec determinacji przyjęcia złożonej mu przez pułkownika oferty. Logicznie rzecz biorąc powinien był przyznać się do porażki, schować te tysiąc funtów szterlingów do kieszeni i puścić się w podróż do południowej Ameryki. Przecież dla swego opiekuna Marka Manna zrobił co mógł i ten nie mógł mieć do niego nawet najmniejszych pretensyj. Tak, ale pozostało jeszcze dużo rzeczy do załatwienia wobec jego córki, Heleny. Nie mógłby już więcej spojrzeć w te chłodne, szare oczy i skosztować jej cudnych ust, gdyby pojechał w podróż!

Przestał czytać i spojrzał na obec-

nych z za pergaminu, który trzymał w ręku. Trzej mężczyźni z zainteresowaniem i pewnego rodzaju zdenerwowaniem czekali na słowa, które zdawały się Arturowi cisnąć na usta.

— A jeżeli odmówię podpisu, co wtedy? — zapytał spokojnie.

— Mamy prawo pana zabić, — odparł pułkownik, akcentując każde słowo. — Korawja będzie uważała, że dopełniliśmy patrjotycznego obowiązku.

Ruchem pełnym nonszalancji Artur rzucił dokument na stół między szklanki i talerze, na których znajdowały się resztki śniadania.

— Nie podpiszę!— oświadczył energicznie.

ROZDZIAŁ XXX.

Decyzja się zbliża.

— Czy Wasza Wysokość zdaje sobie sprawę, że mamy sposoby, któremi pana możemy zmusić do podpisania tego dokumentu mimo jego oporu?

Pułkownik Sass rzucił okiem w kierunku pergaminu, który przed chwilą książę Sergjusz rzucił na stół.



Przestał czytać i spojrzał na obecnych...

Nastała chwila milczenia, podczas której Chesham sięgnął po nowego papierosa ze szkatułki, stojącej na stole. W słowach pułkownika kryła się niedwuznaczna aluzja, która nie uszła uwadze Artura. Obaj podwładni pułkownika, por. Mont i Simonitz przybliżyli się do stołu, śledząc każdy ruch swego przełożonego, czekając na jego rozkazy.

— Kilka chwil temu oświadczyli mi panowie, że zamierzacie mnie zabić, — odparł książę Korawji, siląc się na zupełny spokój. — Dobrze, dlaczegożbyście nie mieli tego zrobić?

Pułkownik Sass poprawił się na swojem krześle i patrząc się badawczo na księcia, rzekł:

— Rozumiem pogardę dla niebezpieczeństw, jaką Wasza Wysokość czuje w tej chwili. Lecz jako wojskowy, który zadużo widział ludzi czekających spokojnie na śmierć, nie mogę jednak zbyt wysoko cenić takiej odwagi. Są bowiem na świecie rzeczy, wobec których nawet największe bohaterstwo pryska.

— A tem jest? — zapytał Chesham, puszczając ustami kółka dymu papierosowego ku sufitowi.

— Posiadamy w naszej armji kilka takich tradycyjnych sztuczek, które zastosowane wobec szpiega lub też jeńca, nigdy jeszcze nie zawiodły i zawsze zmusiły go do powierzenia nam swej tajemnicy.

Spokój z jakim mówił te słowa pułkownik i intencja jego głosu, były dostatecznym dowodem, że wierzy w nie i w danym wypadku wykona co do joty.

— Pan myśli o torturach, nieprawdaż? — zapytał Chesham.

— Mówiłem o tradycyjnych „sztuczkach“ naszej armji, — poprawił go pułkownik. — W każdym razie znajdując się w tak opuszczonym domu, jak ten oto, mamy ogień na kuchni, który można użyć do tych celów.

— Wy kanalje! — krzyknął z oburzeniem Artur. Wy, oficerowie armji korawiańskiej, chcielibyście torturować waszego księcia?

— Chwilowo tylko pretendenta — zauważył ze złośliwym uśmiechem pułkownik, — wobec którego zresztą nie jesteśmy związani przysięgą.

— Oczywiście — przytaknął słowom pułkownika porucznik Mont, którego twarz w czasie rozmowy niedwuznacznie zdradzała jego zamysły. Słowa pułkownika dodały mu pewności siebie, odezwanie się jego jednak przełożony skarcił ostrem spojrzeniem.

Drobna ta wymiana spojrzeń między przełożonym a podwładnym dała Cheshamowi trochę czasu na zastanowienie się, jak należy dalej postępować. Przekonał się, że ludzie ci są do wszystkiego zdolni, i że jedyna jego szansa, — o ile o takiej wogóle mogła być mowa, — było granie na zwłokę. To też zagrał małą komedję. Ziewnąwszy, wyciągnął niedbałym ruchem ręce i patrząc ostro na pułkownika, rzekł:

— Robicie wrażenie bardzo zdecydowanych.

— Tak, jesteśmy nimi.

— A ja znów zapewne upartego, czyż nie tak? — zapytał Artur ze złośliwym uśmiechem.

— Wasza Wysokość jest bezwzględnie bardzo pewną siebie.

Chesham ziewnął znowu, czując się coraz bardziej zmęczonym tą grzeczną, ale niemniej niebezpieczną walką.

— Od trzech dni nie zmrużyłem prawie oka, — rzekł. Daliście mi świetne śniadanie, a teraz mam ochotę prosić was o dalszą gościnę i wypocząć na kilka godzin. Będziemy mogli naszą dyskusję kontynuować podczas podwieczorku. Może będę wtedy w lepszym nastroju.

Pułkownik oparł się o poręcz fotela i wpatrując się w niego zapytał na pół przyjemnie, napół ironicznie.

— Czy Wasza Wysokość mówi poważnie, czy też zamierza z nami prowadzić grę?

Chesham potrząsnął głową.

— Jak panowie wiedzą, królewskość ma swoje przywileje, — odrzekł nonszalancko. W tej np. chwili odczuwam wielką chęć przespania się. I któż może wiedzieć, czy obudziwszy się, nie będę uważał może propozycji panów za bardzo korzystną?

Nastąpiła chwila milczenia. Trzej oficerowie korawiańscy patrzyli się wzajemnie na siebie, jakby chcąc naradzić się oczami.

— Świetnie, — rzekł pułkownik. Jeżeli Wasza Wysokość da nam słowo honoru, że nie będzie starał się stąd zbiec, chętnie użyczę jej gościny aż do podwieczorku.

— Przyjmuję, kochany pułkowniku — odparł Artur. — A teraz jeżeli macie coś w rodzaju łóżka, to...

Pułkownik zaprowadził młodego Anglika do pokoju, w którym znajdowała się wygodna kanapa, używana poprzednio przez niego samego. Artur położył się i wkrótce pomimo, że trzej oficerowie znajdowali się w pobliżu, zamknął oczy i smacznie zasnął.

Po pewnym jednak czasie obudził się znów i korzystając z tej okazji starał się podsłuchać rozmowę swych nieprzyjaciół, którzy szeptem ze sobą rozmawiali.

Chociaż starał się zrozumieć rozmowę swoich „opiekunów“, to nie był w stanie znaleźć wątku ich słów, gdyż zaczęli mówić w nieznanym języku. Odznaczał się on gardłowemi dźwiękami, a Artur uważał go za język krajowy Korawji. Wprawdzie raz po raz w rozmowie powtarzały się słowa niemieckie, nie mógł ich jednak ze sobą powiązać i zrozumieć, naokoło czego się rozmowa właściwie toczyła. Wywnioskował tylko tyle, że tematem jej było przedewszystkiem jedzenie.

Chesham zamknąwszy oczy nie mógł, mimo tego, iż zamierzał wykorzystać swoją sytuację, dowiedzieć się czegoś o swych przyszłych losach, obronić się przed sennością, która coraz bardziej go ogarniała. Przyciszona rozmowa oficerów korawjańskich działała na niego również usypiająco, to też wkrótce znów zapadł w ciężki sen. Widząc jak smacznie śpi ich nieprzyjaciel polityczny, pułkownik Sass wskazał na niego palcem, porozumiewając się oczami ze swymi towarzyszami.

— Najlepiej byłoby zaraz pójść do miasteczka i kupić te zapasy spożywcze — rzekł do porucznika Monta.

Porucznik, wstawszy ze swego siedzenia przyjął rozkaz przełożonego, prężąc się na baczność.

— Tak jest, panie pułkowniku.

— A przedewszystkiem starać się nie zwracać uwagi na siebie mieszkańców okolicy, bo mogą jeszcze coś podejrzewać.

— Oczywiście, panie pułkowniku.

(Ciąg dalszy nastąpi).

KRÓLOWA KWIATÓW

Gdyby Zeus zechciał obdarzyć królową jakimś kwiatem, niezawodnie wybrałby różę; jest ona bowiem ozdobą ziemi, dumą roślinności; oddycha miłością, olśniewa blaskiem, upaja rozkoszną wonią.

Tak mówi o róży Achilles Pacyjusz, pisarz grecki z 4-go wieku przed Chrystusem.

Od zarania kultury ludzkiej kwiat róży związał się ściśle z historją rozwoju cywilizacji. Żaden inny kwiat nie był częściej opiewany, bardziej poszukiwany i ceniony.

Róża jako ozdoba towarzyszyła ludziom od najdawniejszych czasów. Równocześnie stają się te kwiaty poważnym artykułem handlowym, służą do wyrobu pachnideł, znajdują zastosowanie w lecznictwie, oraz w... kuchni.

Użytkowane w tak wieloraki sposób róże, musiały sobie wywalczyć niebywałą popularność, którą uwieczniono nietylko w zapiskach kronikarzy, w pismach poetów, w rzeźbach, odciskach na monetach, ale również w rozlicznych mitach, podaniach i przysłowiach.

Pierwsze ślady przymierza tego kwiatu z człowiekiem znajdujemy w starożytnej Persji, którą zwano krainą róż. Cyrus był gorącym miłośnikiem kwiatów. Egipcjanie uprawiali różę od najdawniejszych czasów, traktując ją jednak, jako produkt ściśle handlowy. Oni to pokrywali przeważnie olbrzymie zapotrzebowanie na róże, jakie było w starożytnym Rzymie. Również i Semici dla róży mieli specjalne względy. W Piśmie Świętem jest kilka razy mowa o róży. — W Księdze Mądrości spotykamy następujący ustęp Salomona: „Nośmy wieńce róż na skroniach, dopóki nie zwiędną"; w księdze Jezusa w Sirach: „Słuchajcie mnie wy święte dzieci i kwitnijcie jak róże nad strumieniem polnym".

Jedno z podań o róży głosi, że pierwszy krzak róży wyrósł z piany morskiej oderwanej od ramienia kąpiącej się Afrodyty. Inne podanie greckie głosi, że Wenus i Róża narodziły się równocześnie z piany morskiej. Według jeszcze innej legendy, Flora w tęsknocie za Amorem, który pogardził jej miłością, stworzyła kwiat, „który odtąd śmieje się swoim powabem i płacze kolcami". Pierwsze róże, według podania, miały być tylko białe i były pozbawione zapachu. Barwę czerwoną mają zawdzięczać przypadkowi. Pewnego razu Adonis, ulubieniec Afrodyty, zapędziwszy się na polowanie w odległe knieje leśne, został napadnięty przez dzika. Bogini, spiesząc mu na pomoc, cierniem kaleczy sobie stopę: kilka kropel krwi padło na kwitnącą różę i ta odtąd zakwitła purpurowo.

Pierwsze wzmianki o różach w Grecji, znajdujemy w pismach Homera i Herodota, Anakreona i innych. Ten ostatni opisując ogrody króla Midasa w Macedonji, wspomina o różach tam rosnących. Według Herodota, macedońskie róże miały mieć sześćdziesiąt płatków.

Również i w życiu codziennem Greków znalazła róża szerokie zastosowanie. Wyrabiano z niej kadzidło, olej, którym nacierano ciała poległych bohaterów; używano jej do celów leczniczych. Rzymianie kochali róże, a kult tego kwiatu, zwłaszcza w czasach cezarów przyjął olbrzymie rozmiary. Za czasów republiki prawo wieńczenia głowy różami przyznawał senat, jako wielką nagrodę. Przywilej tego prawa i naruszenie tego prawa było karane. U Rzymian, róże były symbolem milczenia. — Wieszano je tedy nad stołem biesiadników, aby przypominały, że nawet w czasie podniecenia winem, należy być powściągliwym w mowie. Podawano je również, jako dania. Jedną z takich potraw opisuje Athoneus: Płatki różane mieszano w moździerzu z mózgiem kur, żółtkami, oliwą, rosołem z ryb, z dodaniem wina i pieprzu, następnie gotowano przy miernym ogniu. Soku z płatków róży używano przeciw brodawkom: korzeniem leczono wodowstręt. Elegantki rzymskie nacierały swe ciało po kąpieli proszkiem z suchych płatków, od tego ciało miało nabierać pięknej karnacji.

Zalew barbarzyństwa, idący od wschodu i na tym odcinku wycisnął swe piętno. Kultura róż upadła i tylko nieliczne egzemplarze znalazły przytulisko w klasztorach. Chrześcijaństwo miało również wiele uznania dla róży i stawiało ją na czele wszystkich kwiatów, a kaznodzieje Matkę Boską nazywają „najpiękniejszą różą wśród niewiast".

W czasach chrześcijańskich powstało również wiele podań o róży.

Hadrian VI w 1521 r. wznowił symboliczne znaczenie róży, jako znaku milczenia i kazał kłaść na konfesjonałach kwiat róży, aby przypominał spowiednikom o zachowaniu ścisłej tajemnicy spowiedzi.

W naszych czasach, mimo, iż sztuka ogrodnicza olbrzymie robi postępy, zagarniając do swych szeregów coraz to nowe rośliny, stanowisko róży, jako królowej kwiatów, pozostaje nadal niezachwiane i można śmiało stwierdzić, iż zwiększył się jedynie orszak jej służebnic i jak dawniej dzierży ona wysoko swe berło pierwszeństwa.

Marzena Saryusz-Stokowska.



Wśród najpiękniejszych odmian róż wyróżnia się barwą ciemnej, aksamitnej czerwieni kwiat róży „Hadley".



Wspaniały kwiat róży „Souvenir de Claudius Pernet" w kolorze jasno-żółtym.

CZAR KOBIECYCH RĄK.

Ręce są dla kobiety kwestją pierwszorzędnej wagi. Dobrze utrzymana ręka z dyskretnie pomalowanym paznokciem, chociażby spracowana, wywiera zawsze wrażenie korzystne; przeciwnie piękna w linji ale zaniedbana, musi budzić odrazę.

I dziś jest nie do pomyślenia, aby nowoczesna kobieta, dbająca o siebie, mogła nie zwracać uwagi na wygląd swych rąk. Stałe pielęgnowanie rąk polega przedewszystkiem na utrzymywaniu ich w nieskazitelnej czystości. Myć je należy w ciepłej wodzie przetłuszczonem mydłem i szczoteczką. Przedtem jednak trzeba miejsca zaplamione natrzeć watą, umaczaną w soku cytrynowym lub amoniaku. I, pamiętając że stałe natłuszczanie przyczynia się do uzyskania gładkiego i miękkiego naskórka, nakładać po każdem myciu, na nieco jeszcze wilgotne ręce, jakiś dobry „coldcream". Ręce wyjątkowo suche należy ponadto jeszcze przed zanurzeniem ich we wodzie natrzeć tłuszczem, który stanowi dobrą ochronę przed zbyt intensywnem działaniem mydeł. Wypada przestrzec przed stosowaniem wazeliny i gliceryny, które są w powszechnem użyciu. Wazelina, jako produkt mineralny, nie jest dobrze wchłaniana w skórę i nawet najlepiej oczyszczona drażni ją. Natomiast gliceryna, będąca — jak wiadomo — alkoholem trójwartościowym, zbyt ją wysusza.



Powyżej: Oto para idealnie pięknych rąk kobiecych, odznaczających się zarówno doskonałym kształtem jak i odpowiednią pielęgnacją.



Na lewo: W Hollywood niektóre gwiazdy filmowe używają do manucure maszynki elektrycznej, która cieszy się również uznaniem znanej aktorki filmowej Dorothy Wilson.

Poniżej: Drobne zabiegi kosmetyczne stanowią dla pięknej kobiety ulubione zajęcie.



Różnorodne czynności zawodowe, a szczególnie niektóre zajęcia przy gospodarstwie domowem, niszczą ogromnie ręce. Gumowe rękawiczki lub zwyczajne, których już nie używamy, mogą być w tych wypadkach bardzo pomocne. Z początku będziemy się czuć w nich nieswojo, niedługo jednak przyzwyczaimy się w nich pracować.

Wygląd zniszczonych rąk można nieco poprawić, stosując na noc specjalne okłady. W tym celu świeże żółtko rozrobić z łyżeczką od kawy olejku ze słodkich migdałów, albo z taką samą ilością stopionego szpiku z kości wołowych i szczyptą boraksu w proszku. Świeżo umyte ręce natrzeć obficie powyższą mieszanką i nałożyć obszerne rękawiczki.

Jeżeli jeszcze będziemy się starać spać z wyprostowanemi dłońmi, równocześnie i zmarszczkom wypowiemy wojnę. Od zaciskania ich bowiem przez całą noc w pięść tworzą się brzydkie zmarszczki i woreczki na stawach palców, co nie jest znowu sprawą tak błahą, jakby się na pozór wydawało, gdyż wiek częściej odgaduje się z ręki aniżeli z twarzy. Przykry zapach zniknie z rąk, jeśli się zastosuje je przed myciem fusami od kawy.

Przy nieznacznych oparzeniach natarcie skóry oliwą łagodzi ból. Na spierzchnięte ręce doskonale działa krem lanolinowy. Z wybieleniem rąk trzeba być ostrożną. Jedynie sok cytrynowy zmieszany do połowy z wodą, cold-cream ogórkowy, roztwór boraksu, mogą być używane bez obawy.

Do przykrych dolegliwości rąk należy ich nadmierne pocenie. Leczenie jest bardzo niewdzięczne. Objawy te można nieco zmniejszyć, myjąc często ręce z użyciem mydeł przetłuszczonych; poza tem nacierając je dwa razy dziennie 2 proc. spirytusem salicylowym, pyzrządzonym na 45° alkoholu.

Szczególnej troskliwości wymagają paznokcie. Manucure konieczny jest conajmniej raz w tygodniu. Przyskórki jednak trzeba codziennie odsuwać przez mokry ręcznik, najlepiej po każdem umyciu, gdy skóra jest jeszcze wilgotna.

Jeżeli paznogcie łatwo pękają, należy je moczyć, początkowo codziennie, później raz w tygodniu w gorącej oliwie.

Na koniec pytanie: Jakiej barwy lakieru używać? Wprawdzie paznokcie ponsowo-fioletowe mają być w tym roku najmodniejsze, ale chyba zawsze najbardziej eleganckie pozostaną pociągnięte tylko lakierem barwy naturalnej.

Mgr. O. W.

„WYLĘGARNIA”
ZDOBYWCÓW ŚWIATA

My home is my castle! Moje ognisko domowe jest moim zamkiem-fortecą, powiada Anglik i... stosuje się do tego!

Naród, do którego należy 3/4 świata, jest ciekawy nawet w swych drobnych przejawach życia. Rodzina, ta komórka składowa społeczeństwa, ta „wylęgarnia“ obywateli i równocześnie charakterów — oddawna była w Anglji czemś świętem i silnie zrośniętem, gdzie panował mniej lub więcej srogi ojciec i Pismo Święte, parę razy dziennie odczytywane. — Atmosfera nie musiała być dawniej zbyt miła, jeżeli tylu uciekinierów notują nietylko akta policyjne ale i historja. Bardzo wielu z tych, co uciekli z domu, przyczyniło sławy narodowi i zdobyło dla niego nowe kolonje, nowe kopalnie i wszelkiego rodzaju zdobycze. — Rzeczywiście nadziwić się nie można, że nawet wady home'u angielskiego wyszły w ostatecznym rozrachunku narodowi na dobro. — A cóż dopiero zalety! — Przedewszystkiem do domu wraca Anglik nie jak do miejsca powszedniego, ale widzi we własnym home pewnego rodzaju świątynię uczuć rodzinnych i miejsce, gdzie powinien pokazywać się z najlepszej tylko strony. — Gdy my wracamy do domu, wkładamy podarte pantofle i wytartą narzutkę lub szlafrok, to Anglik wręcz przeciwnie po powrocie do domu wkłada na obiad (jadany wieczorem) smoking lub frak. — Panie ubierają się, jak na proszoną kolację, a nie jak do domu, w naszem znaczeniu! Pan domu wobec pani zachowuje się tak, jakby wzajemnie byli u siebie w gościnie. — To nie znaczy bynajmniej, że panuje zbyt sztywna atmosfera. Nie! atmosfera jest bardzo swobodna i wesoła, ale nie widać w niej poufałości — braku taktu. Ogólny poziom angielskiego home'u jest bardzo wysoki. — Mój Boże, powie ktoś — toć to tylko duszne formy zewnętrzne. — I stokrotnie nie będzie miał racji! Nie, właśnie formy zewnętrzne odróżniają nas między sobą, a całość od zwierząt. — Nawet lepiej wychowane pieski jedzą inaczej ,niż kundys podwórzowy. Rasa wyhodowana długą kulturą robi swoje, daje ludzi, u których *„savoir vivre* jest nie narzuconą politurą, lecz istotnym składnikiem charakteru, uzewnętrzniającym się odruchowo w każdej okazji.

Warto widzieć Anglików zwłaszcza przy stole, — jedzenie nie jest ładną funkcją, trzeba kultury i dobrego wychowania, by to wypadało estetycznie, to też najniżej w dół drabiny społecznej schodząc, nie zobaczymy przy jedzeniu rozstawionych szeroko łokci, jedzenia nożem, używania wykałaczek i tym podobnych niby to drobiazgów, a ta kważnych z punktu widzenia estetyki i zachowania. — Anglik często trzyma ręce w kieszeni, co my uważamy za brzydkie, ale poza tem nie robi wielu rzeczy, które u nas uchodzą. — W domu zachowuje się jak w salonie u dobrych znajomych, bawi się całą duszą w rozmaite zabawy i gry towarzyskie, starzy i młodzi pele-mele napełniają śmiechem dom, nikt się nie boi utracić swojej powagi. — I to jest zasadnicze: Anglik może być ministrem, być najmądrzejszym, najpoważniejszym, „wysoko postawionym“ dygnitarzem, a mimo to prestige'u nie boi się stracić, jeżeli będzie rozbawiony jak dzieciak. — On wie, że jego wartość wewnętrzna jest dobrze ugruntowana i spoczywa na rzeczywistych wartościach, a nie na dąsie na twarzy lub szorstkiem nieprzystępnem zachowaniu. — Ale i tu są granice — i to ściśle określone. Drobna rzecz, — nietakt — wywołać może najpoważniejsze



Wnętrza angielskich domów utrzymane są przeważnie w spokojnym stylu, a meble cechuje zwykle praktyczność i solidność. W takich wnętrzach wzrasta dziecko angielskie, które jest słońcem domu — „the sun of the house“.

skutki — pozbawić tytułu gentlemana — tytułu dla Anglika najważniejszego. — Drobny przykład: niedawno temu gazety przyniosły cykl fotografij europejskich panujących za młodu. — Cóż widzieliśmy? Prawie wszystkie fotografje przedstawiały młodziutkich następców tronów w szablonowych pozach w mundurach itd. — Tymczasem królowa angielska była sfotografowana ze swoim synkiem na plecach, jak to mówią „na barana“ — jak zwykła śmiertelniczka, a nie jak pani połowy świata. Uważam że ta fotografja była najlepszym dowodem wysokości poziomu Anglika i jego home'u. Swobodę i opanowanie światła, rozum i humor, pracowitość i odpoczynek trzeba i powinno się umieć połączyć i być pełnowartościowym człowiekiem.

Ciekawym dalej szczegółem jest, że Anglicy swój home nie narzucają dzieciom, jako coś koniecznego, jako stajenkę, do której ma wracać i gdzie ma spędzać większość swojego życia. Anglik zdaje sobie sprawę z tego, że wychować na dobrego i zdrowego obywatela może tylko (z pewnemi wyjątkami) zbiorowa, dobra szkoła. Wyrobienie to jest oparte na towarzyskiem pożyciu, sportach i nauce. Te trzy momenty w miarę dozowane — dają materjał na męża stanu, uczonego i zdobywcę kolonji. Nieraz słyszy się u nas pogardliwe wyrażanie się o wychowawczych walorach college'ów. Tam, powiadają, jest więcej piłki nożnej jak nauki! U nas tego niema, ale jednak chcielibyśmy mieć połowę tej ilości mężów nauki i światowej sławy uczonych, jakich ma Anglja. Widocznie nie jest tak źle z tą nauką; a prócz tego jakie twarze mają często ci uczeni — młode, zdrowe i pogodne. Niejeden z najsławniejszych uczonych wygląda na człowieka światowego a nie na „mola książkowego“!

Nie rzadkie są wypadki, że posag, lub zapis jakiś na korzyść rodziców, idzie w całości na wychowanie dzieci. Pieniądze te nie są ruszane, aż dziecko dojdzie do wieku szkolnego. Bo wychowanie i nauka nie jest tanią w Anglji, wręcz przeciwnie, jest bardzo drogą nawet. To jest dalszy przykład jak ważnem dla Anglika jest dziecko, ta najmniejsza składowa home'u. — Znanym jest ten rysunek angielski, przedstawiający jakąś dużą, ruchliwą ulicę w Londynie. Z obu stron zatrzymano w pędzie konie i samochody, przez utworzoną w ten sposób przez policjanta wolną przestrzeń, maszeruje sobie małe bobo, nic sobie z niczego nie robi, bo wie, że około niego kręci się w danej chwili cały świat. Podpis pod obrazkiem „His Majesty, Baby!“ — Jego Majestat, — dziecko“.

Wracając jeszcze do home'u uderza w nim nadzwyczajna przytulność mebli — jużto tylko w angielskich meblach można naprawdę wypoczywać. Meble te są dopasowane do człowieka, a nie naodwrót, nie trzeba się do nich dostosowywać. Meble, dywany, obrazy, cały podział mieszkania obmyślany z punktu widzenia miłego nastroju, by powracający z miasta pan czy pani domu, czuli się „u siebie“. Przyczynia się do utrzymania nastroju też i podział mieszkania, a raczej domu. Przeciętny dom Anglika tworzy dla siebie całość, podzieloną piętrami na mieszkalną część, salon, jadalny, sypialny, osobno mieszkają dzieci. Każdy może być oddzielony od reszty. Użytkowe ubikacje (kuchnia i t. d.) są ściśle oddzielone od właściwego mieszkania.

Częścią składową home'u trzeba też nazwać otoczenie. Każdy dom, choćby najmniejszy musi mieć swój ogródek. Trochę kwiatków, trawnik, ścieżki (czasem tylko krócej skoszona trawa oznacza ścieżkę), altanka, wszystko utrzymane z prawdziwem zamiłowaniem. Zwłaszcza trawniki, to prawdziwy monopol Anglika. Trawa koszona maszynkami — przedmiot codziennego użytku na zachodzie — jest równa co do wielkości i gęstości, kolor soczysty jednolity.

Parkan, biegnący naokoło ogrodu — to także symbol. Nie ma rzeczy trudniejszej dla obcego, jak dostać się do domu Anglika. Bez polecenia, bez upoważnienia, nie jest to możliwem. Ale zato jak się już przekroczyło progi — to i nie ma serdeczniejszego przyjęcia jak właśnie w angielskim homie.

Anglik, którego my nazywamy zimnym, jest wręcz przeciwnie, bardzo uczuciowy, a jeżeli jest zamkniętym nieco, to właśnie dlatego, że nie pragnie swych uczuć rozrzucać na lewo i prawo, nie chce ich marnować. Stąd pochodzi to zamknięcie się od obcych, nieznajomych.

Generalizując, całe imperjum angielskie jest jednym wielkiem home, do którego wstęp nie jest łatwym i które jest zamkniętą dla siebie całością.

Tak, nie jest przesadą, gdy Anglik mówi: „My home is my castle“!

Dołęga.



Piękny zakątek angielskiej wsi z oryginalnym staroświeckim dworem, różniącym się od większości domów wiejskich spadzistym dachem i brakiem typowej czerwonej cegły.



ZGON WIELKIEGO POLAKA.



W tych dniach zmarł w Wielkopolsce dr Michał Bobrzyński. Zyskał on sobie jako profesor U. J. i wielki historyk, niezapomniane zasługi dla nauki polskiej. Śp. Michał Bobrzyński był za czasów austrjackich namiestnikiem Galicji.

30-LECIE BITWY POD CZUSZIMĄ.



Jako w 30-tą rocznicę bitwy morskiej pod Czuszimą, japońskie czynniki wojskowe zainicjowały w Tokio zebranie wszystkich uczestników tej bitwy w roku 1905, która zadecydowała w następstwie o zupełnem zwycięstwie Japonji nad Rosją. Oto marynarze, pamiętający gigantyczne zapasy, o których naówczas mówił cały świat. Stali się oni przedmiotem licznych owacyj w stolicy Japonji.

NOWY FELDMARSZAŁEK.



Ostatnio król angielski nadał szefowi brytyjskiego sztabu generalnego, gen. sir Archibald Montgomery-Massingberd zaszczytny tytuł feldmarszałka, który tylko niewielu Anglików zdołało zdobyć.

REGATY UNIWERSYTETÓW AMERYKAŃSKICH.



Ostatnio odbyły się w Poughkeepsie regaty uniwersytetów amerykańskich na przestrzeni 2.000 metrów. Zdjęcie nasze obrazuje początkowe chwile zawodów, kiedy jeszcze łodzie pozostają w równem mniej więcej oddaleniu.

ZGON BRYGADJERA MĄCZYNSKIEGO.



Do ciężkich strat, jakie ostatnio poniosło społeczeństwo polskie, należy śmierć brygadjera Czesława Mączyńskiego, który w tych dniach zmarł we Lwowie. Śp. bryg. Mączyński zyskał sobie, jako dowódca oddziałów, broniących bohatersko Lwowa podczas inwazji ukraińskiej, niezapomniane zasługi dla Kresów Wschodnich i całej Polski.

NAJWIĘKSZY WYŚCIG KOLARSKI ŚWIATA.



Tour de France, największy wyścig kolarski świata, wzbudził w roku bieżącym równie wielkie zainteresowanie, jak zawsze. Na zdjęciu naszem widzimy zeszłorocznego zwycięzcę wyścigu Antonina Magne na ciężkiem podejściu do grzebienia górskiego Galibier. Magne wycofał się właśnie na tym etapie, potłuczony dotkliwie w zderzeniu z przygodnem autem.

MODA



Żakiet z Breitschwanzów o fantazyjnym kroju. Kapelusz z czarnego celofanu w kształcie modnej aureoli od czoła.



Suknia z siateczki filet, w kolorze beige, na spodzie z fularu, w tym samym odcieniu.

Inspiracje sztuki włoskiej w modzie paryskiej

Dyktatura mody paryskiej jest równie bezwzględna, jak i zmienna, ulegająca coraz innym wpływom, które albo same pojawiają się na platformie życia tego miasta-miast, albo też bywają pracowicie wyszukiwane przez specjalistów w tym fachu. I tak znajdzie swe dalekie odbicie w modzie paryskiej, nakrycie głowy wojsk kolonjalnych, które przybyły na wystawę kolonjalną. Innym razem pojadą mistrze mody daleko do kraju wiśni i chryzantemy, aby tam zaczerpnąć nowych motywów.

Ostatnio widzieliśmy, jak z zadziwiającą łatwością wprowadzono niezwykłą, rewelacyjną nowość w postaci fałdzistych, powłóczystych i aż na głowę zarzucanych zwojów materjału, naśladując strój kobiet dalekich i tajemniczych Indji. A już na zmiennej tafli przejawów mody widzimy nowe inspiracje. Nie trzeba ich teraz było szukać daleko od Paryża. Przyszły zda się same w postacii eksponatów sztuki włoskiej, którym otwarto gościnne podwoje pałacu sztuki Petit Palais.

Ze sal Petit Palais wyszły nowe pomysły dla mody, dbałej o to, by współczesna elegantka mogła swoje wdzięki spowijać w coraz nowe szaty. A wiadomo, że nowa suknia, to możliwość ujrzenia blasku swej urody w nowej oprawie, w nowem świetle zachwyconych oczu męskich, a to najmilsza rozrywka kobiet wszystkich czasów, dla których niema granic w wyszukiwaniu nowych pretekstów, pod któremi możnaby studjować swą urodę w coraz to odmiennej oprawie.

I stąd widzimy na ulicach i wystawach wielkich domów mody tualety i kapelusze, wiodące swój rodowód z najsłynniejszych obrazów Quattrocenta, czy innych epok malarskich, których obrazy mieści wystawa Petit Palais. Aureole świętych z obrazów Quattrocenta posłużyły szybko jako motyw dla najnowszych kapeluszy, dających w sylwetce tę właśnie spokojną linję wokół głowy, jaka charakteryzuje tamte obrazy.

Inne kapelusze naśladują berety Rafaela, jeszcze inne czepeczki madonn Perugina, przyczem odpowiednio do nich zmienia się dotychczasowy maquillage, stosowany czy to do typów tamtych malarzy, czy do urody Lukrecji Borgia lub Venus Botticeliego. Przelotna zda się inspiracja mody sięgnęła tym razem znacznie dalej, niżby się na początku zdawało.

Mewa.

Czarny aksamitny kapelusz, odsunięty od czoła i przybrany kokardą z białej peau d'ange.



PRZEPISY

odnoszące się do naszego kalendarzyka — obliczone na 3—4 osoby.

ZUPA A LA SEVIGNE. Młode jarzynki jak: karotki, groszek zielony, fasolkę szparagową, młode ziemniaczki, wszystko pokrajane dusi się każde osobno w maśle. W międzyczasie gotuje się silny rosół wołowy, dodaje 2—3 łyżek pomidorów, oraz uduszone jarzynki, podgrzewa mocno bez gotowania i wlewa do wazy na usmażone grzanki.

ROSTBEF Z RUSZTU (po angielsku). Z 1½ kg rostbefu odjąć kości, skropić octem, przycisnąć talerzem i odstawić na 1—2 dni w chłodne miejsce. W dniu, kiedy ma być użyty rano ubić go lekko pałką, natrzeć oliwą i poprószyć pieprzem. Na pół godziny przed obiadem, wstawia się mięso na ruszcie do gorącej rury, piecze 15 minut, następnie odwraca łopatką (nigdy widelcem, aby soku nie tracił), piecze dalsze 15 minut i wydaje na półmisek. Po 5 minutach krajać. Do przyrządzania prędkich mięs z rusztu nadają się tzw. gazowe grillery będące w użyciu przy kuchenkach gazowych.

MŁODE KURY Z KALAFIORAMI. Kurczaki oczyszczone kraje się w ćwiartki i odstawia lekko posolone. Z łyżki masła i 2 łyżek mąki zrobić zasmażkę, zalać zimnym rosołem, zagotować, następnie dodać 3—4 łyżki kwaśnej śmietany, zagotować i przetrzeć do większej ryneczki. Do sosu tego wkłada się pokrajane kurczaki i gotuje na wolnym ogniu. Pod koniec, tj. na pół godziny przed wydaniem dokłada się podgotowany w słonej wodzie, odcedzony kalafior i dogotowuje go razem. Ułożone na środku półmiska kurczaki okłada się kalafiorem i polewa sosem, który powinien być dobrze gęsty.

JAJA AU GRANTIN. Jaja wpuszcza się ostrożnie na osoloną wolno gotującą się wodę. Gdy się białko zetnie, wyjmuje się je dziurkowaną łopatką, osącza z wody i układa na muszelkach lub opiekankach z bułki, pokrywa gęstym beszamelem, skrapia masłem, posypuje tartą bułką z parmezanem i zapieka w piecyku przez 10 minut.

SPAGHETTI Z GRZYBKAMI. 20 dkg makaronu spaghetti ugotować w słonej wodzie, odcedzić i przelać zimną wodą. 20 dkg grzybków żółtych, tzw. liszek, udusić w maśle z cebulką i dodać do makaronu. Inne dodatki: 5 dkg masła, utartego z dwoma żółtkami, 3 łyżki pomidorów, 3 łyżki kwaśnej śmiatany oraz piana z dwóch białek. Wymieszaną masę kładzie się w połowie do formy, ugotowany i posiekany mały móżdżek cielęcy, daje się jako drugą warstwę, pokrywa resztą masy, kropi masłem i posypuje parmezanem. Potrawę wypieka się w piecu na różowo.

FONDUS (potrawa szwajcarska z jaj i sera). 6 jaj roztrzepać dokładnie z solą, białym pieprzem, 6 dkg parmezanu i 6 dkg sera szwajcarskiego lub tylko ser szwajcarski w podwójnej ilości, grubo utarty. 5 dkg masła rozpalić w płaskiem naczyniu, wlać jaja zmięszane z serem, mięszać pilnie na ostrym ogniu i natychmiast wydawać, gdy się zacznie ścinać.

TORT ORZECHOWY Z PIANKĄ POZIOMKOWĄ. — 8 dkg orzechów laskowych, 14 dkg cukru i piana z 4 białek. Z białego papieru wycina się 4 jednakowe płytki, smaruje je masłem i nakłada na nie przygotowaną masę, następnie piecze w wolnym piecu. Ostudzone i zdjęte z papieru pokrywa się bitą śmietanką z poziomkami lub pianką utartą z ½ l poziomek, 10 dkg cukru i 2 białek. Uciera się tak długo, aż się utworzy gęsta sztywna piana, co zwykle następuje po półgodzinnem ucieraniu. Płytki pokryte pianką zestawia się razem w jedną całość, pokrywa z wierzchu również pianą i posypuje wybranemi poziomkami.

NALEŚNIKI Z SEREM I CZEREŚNIAMI. 25 dkg sera zmielonego i 2 żółtka oraz tyle kwaśnej śmietany, aby się utworzyła gładka łatwa do smarowania masa, cukru i soli do smaku, 2 słodkie i 2 gorzkie miałko utłuczone migdały. Masą tą pokrywa się naleśniki, posypuje wydrelowanemi czereśniami, zwija, układa w wysmarowanem masłem rondelku, polewa śmietanką rozbitą z dwoma żółtkami i cukrem i zapieka w piecyku. Wyłożone na półmisek posypać cukrem waniljowym.

LIKIER Z ZIELONYCH ORZECHÓW. 56 dkg orzechów włoskich jeszcze zielonych, kraje się w kawałki do słoja, nalewa $1^1/_4$ l dobrego spirytusu lub żytniówki, zawiązuje i stawia na 40 dni w zaciszne, o ile możności słoneczne miejsce. Następnie przecedza się przez płótno, orzechy odrzuca, a do spirytusu dolewa się 5/8 śliwowicy, dodaje po 1 dkg goździków i cynamonu, 4 dkg smażonych skórek pomarańczowych, drobno pokrajanych oraz 56 dkg cukru. Nalewka stać musi dalsze trzy tygodnie pozem się ją filtruje i zlewa do flaszek.

Sc. Ko.

Resztę mniej znanych przepisów podamy w następnym numerze.

OKRĄGŁY PIEC KUCHENNY.



Na wystawie racjonalnych urządzeń z zakresu gospodarstwa domowego, urządzonej ostatnio w Chicago, ogólną uwagę zwracał elektryczny piec kuchenny, okrągłego kształtu.

Piec taki, umieszczony w środku kuchni, ma rzeczywiście duże zalety i będzie niewątpliwie przedmiotem marzeń wielu naszych pań domu, które unowocześniają technikę gospodarstwa domowego i jego urządzenia.

Na zdjęciu reprodukujemy piec z wystawy chicagoskiej. As.

7 ✦ DNI ✦ DOBREJ ✦ GOSPODYNI.

Z dwóch głównych dań obiadu jedno może być w skromniejszych gospodarstwach opuszczone.

Święta rzym.-kat. i żyd.	Tydzień 30 — LIPIEC — Dni 31
Niedziela **21** Praksedy, Danieli, 20 Tamuz	Zupa á la Sévigné. Sztuka mięsa w beszamelu. Młoda gąska pieczona z buraczkami. Mizerja i nowe ziemniaczki. Placek kruchy z agrestem. Kolacja: Zimna gąska lub wędlina z sosem tatarskim.
Poniedziałek **22** M. Magdaleny, 21 Tamuz	Krupnik na rosole z gęsich podróbek. Rizotto i gęsim żołądkiem i wątróbką. Rostbeuf z rusztu z garnirunkiem jarzynowym. Kompot z wiśni z keksami. Kolacja: Fondus /potrawa z jaj i sera/ z chlebem.
Wtorek **23** Apolinarego. S., 22 Tamuz	Borówczak z grzankami. Jaja au gratin. Młode kury z kalafiorami. Naleśniki z serem i czereśniami. Kolacja: Młode ziemniaczki z kwaśnem mlekiem.
Środa **24** Krystyny, Wl., 23 Tamuz	Zupa z zielonego groszku z płatkami. Hachée z mięsa gotowanego z sadzonemi jajami. Bitki wołowe z duszoną kalarepką. Drożdżowy placek z borówkami. Kolacja: Spaghetti z grzybkami.
Czwartek **25** Jakóba ap. Krzy, 24 Tamuz	Zupa sgrestowa z grzankami. Ozorki cielęce w pomidorowym sosie z kluseczkami. Zraziki cielęce naturalne. Kompot mieszany. Kolacja: Omlety z grzybkami.
Piątek **26** Anny Matki NPM., 25 Tamuz	Chłodnik z głąbików z ziemniaczkami. Budyń ryżowo-kalafiorowy. Pstrągi z masłem rakowem. Budyń z bułki z szodonem. Kolacja: Kanapki jarskie.
Sobota **27** Natalii, Pantel., 26 Tamuz	Rosół "Julienne" z smażonym groszkiem. Sztuka mięsa z sosem z twardych jaj. Gęsie wątróbki zapiekane w ryżu. Kisiel agrestowy. Kolacja: Pierożki ruskie w śmietanie.

HOCKI-KLOCKI
KARTY GEOGRAFICZNEJ.

Gdyby polityka nie była rzeczą tak nad wyraz smutną w swych następstwach, mogłaby być nawet bardzo wesoła! Te wszystkie bowiem śmieszne epizody, dziwactwa i głupstwa, które w codziennem życiu przeciętnego człowieka zmuszają do ironicznych uwag, spotykamy również w egzystencji narodów, tylko że tym razem chodzi tu o daleko wyższą stawkę. Zwłaszcza obecna sytuacja polityczna dziwnie nadaje się do spa rodjowania. Stworzono bałwana, któremu wszyscy się kłaniają — Ligę Narodów, a równocześnie nikt się z nią nie liczy. Mówi się nałogowo o rozbrojeniu, a wszyscy się zbroją. Swobodę i wolność nazywają zdobyczą XX w., tymczasem robi się wszystko, by ją sprowadzić do minimum. Przechodzi się milcząco koło straszności regimu sowieckiego, rewolucji w Hiszpanji i tylu innych okropności dnia dzisiejszego i twierdzi się, że żyjemy w wieku „postępu". Świat współczesny przypomina trochę albo dom złośliwych warjatów albo też bolesne igraszki, źle wychowanych dzieci. — A ileż to powstało nowych centrów niepokoju? Włochy walczą z Jugosławją o Adrjatyk, Austrja naciskana ze strony Włoch i Rzeszy „wymiguje się" jak może od swych opiekunów Węgry dopominają się od Czech i Rumunji o swe dawne terytorja, jakoteż o prawo decydowania o swym królu. Irlandja raz po raz chwyta za broń pod przewodnictwem de Valery. Litwa cierpi na „megalomanię acuta" i żongluje między Rosją a Niemcami, na innym znów odcinku mapy państwa bałkańskie, węsząc w powietrzu burzę, starają się stworzyć silny blok, któryby stanowił mur ochronny. Ale też i biedna, życiem skołatana Marianne francuska znosić musi brutalne zaloty dwóch starających się — Ognistego Krzyża i lewicy. Nie można powiedzieć, aby obecna sytuacja odznaczała się wybitnym... spokojem! Jedyny sposób, aby żyć w tych czasach jest... nie przejmować się i czekać co przyszłość przyniesie.

Jgm.





Od góry: Przywilejem humorysty jest oglądać smutne rzeczy przez różowe szkła dowcipu. Chociaż w Europie współczesnej istnieje daleko więcej zagadnień, mogących spowodować wojnę niż przed rokiem 1914, smutny ten obraz widziany oczami karykaturzysty przedstawia się wcale wesoło.

Oto jak Niemcy wyobrażali sobie wyniki wojny światowej: Jak widzimy potężny „Michel" zadaje sąsiadom na wschodzie i zachodzie tęgie razy, a nawet Anglja znosić musi uderzenie niemieckiej floty. Pomysłowa ta karta geograficzna jest wysoce ciekawym dokumentem historycznym.

ZE ZLOTU HARCERZY W SPALE.



Ekspozytura P. K. O. na Jubileuszowym Zlocie Harcerstwa Polskiego w Spale cieszy się wielkiem powodzeniem wśród harcerry i harcerek, gdyż — jak wiadomo — 9 punkt prawa harcerskiego głosi: „Harcerz jest oszczędny i ofiarny".

Dokończenie ze str. 8-ej.

woju. Robotnice te są także i mamkami. Sok bowiem pożywny, który wydzielają, wlewają one do pyszczka gąsienicy. Skoro gąsieniczki są syte, leżą nieruchomo jakgdyby bez życia, lecz gdy im tylko głód dokuczać zacznie, dają znać o tem przez żywe wykręcanie przedniej części ciała. Po jakimś czasie gąsieniczki zmienione w oprzędzione kokonem owalne poczwarki, niesłusznie zwane „mrówczemi jajami", wynoszą mrówki-piastunki na słońce i świeże powietrze, a w razie jakiegoś niebezpieczeństwa chowają je w najgłębsze gniazda.

A kiedy poczwarka przeradza się w młodziutką mrówkę, wtenczas przy wydostaniu się z kokonu słabiutkiemu temu stworzonku pomaga jego niańka-opiekunka i uwalnia je z więżącej osłonki. Następnie nowonarodzona mrówka otrzymuje od karmicielki pierwszą kropelkę pożywnej cieczy, zanim rozpocznie samodzielne życie.

Dr. Z. Maślankiewicz.

To warto poznać..

NA SCENIE.

Druga połowa lipca, kanikuła w całej pełni, choć czasami niebo mocno lunie deszczem. Aktorom także należy się urlop — więc niemal wszystkie teatry zamknięte. A jeżeli już „gdzieś coś" — to napewno operetka, albo jej szlachetniejsza i współcześniejsza odmiana: komedja muzyczna. Taką właśnie miłą i melodyjną komedję muzyczną p. t. **„Przygoda w Grand Hotelu"** daje w **Warszawie** przy ul. Karowej nowy teatr, nazwany „Wielką Rewją". Mimo upałów — ma pełną widownię.

Do wykonania tej komedji muzycznej zmobilizowała „Wielka Rewja" dobry zespół z Brochwiczówną, Grossówną, Żabczyńskim i Ruszkowskim na czele. Cały zespół gra z wdziękiem i zabawnie, a śpiewa miło i z temperamentem.



Brochwiczówna i Żabczyński w komedji muzycznej „Przygoda w Grand Hotelu" w teatrze „Wielka Rewja" w Warszawie.

Teatr im. J. **Słowackiego w Krakowie** kończy swój sezon dramatyczny wysoce poetycką i wartościową sztuką L. H. Morstina „Rzeczpospolita poetów", w której Juljusz Osterwa żegna się z publicznością krakowską. Jeszcze istnieje też ostatnia sposobność w Krakowie ujrzenia i usłyszenia przemiłej i przepięknej „Madame Dubarry", operetki świetnie granej i śpiewanej przez zespół dramatyczny krakowskiego teatru.

Łódź, Kraków i Lwów czekają na Jaracza, jego zespół Teatru Aktora, i jego „Pana Brotonneau" i „Chorego z urojenia".

(swb.)

NOWE KSIĄŻKI.

Wybitny pisarz austrjacki **Józef Roth** przypomina nam czasy starej monarchji na kartach swojej pięknej powieści **„Marsz Radetzky'ego"** („Rój", 1935). Jest to powieść pełna znawstwa epoki i ludzi, doskonale oddająca atmosferę Wiednia. Warto poznać ten utwór pełen wdzięku i rasy. Przekład Wandy Kragen — dobry.

Członek Akademji Goncourtów, **Gaston Chérau** pojawił się na gruncie polskim dzięki przekładowi jego bardzo słabiutkiej powieści **„Przeznaczenie"** (Wydawnictwo Nowoczesne, Warszawa, 1935). Historja ta o trzech wcieleniach pewnego oficera-hulaki, potraktowana została szablonowo. Książka napisana gładko, ale bez polotu i barwy. Przekład M. Tarnowskiego.

Na półkach księgarskich pojawiła się już nowa powieść **Antoniego Marczyńskiego**, króla artystycznej sensacji w naszej beletrystyce. Tytuł jej brzmi: **„Kaprys gwiazdy filmowej"**. Jest to niezwykle oryginalnie ujęta historja nakręcania filmu, osnutego na fabule „Krzyżaków", który zostaje ze względów politycznych przerwany, a scenarjusz ulega metamorfozie, o jakiej nie śniło się nawet najzręczniejszemu scenarzyście. Rzecz napisana barwnie i zajmująco, musi każdego zainteresować.

Amerykańska autorka **Pearl Buck**, która przez długi czas bawiła w Chinach stała się istnym „specem" od tego kraju. Po jej udanej powieści **„Błogosławiona ziemia"** („Rój", 1935), pojawiła się **„Spowiedź Chinki"** („Rój", 1935) oraz **„Synowie"** (przekład dr. J. P. Zajączkowskiego, „Rój", 1935). Powieści te dają znakomitą panoramę chińskiego życia i przynoszą nieraz rewelacyjne szczegóły dla polskiego czytelnika. Są to Chiny autentyczne i barwne, Chiny starego obyczaju, w które wdziera się europejski pokost. Wszystkie książki posiadają wysoki poziom literacki — najwyższy może „Spowiedź Chinki".

Głośny „bolszewicki hrabia" **A. Tołstoj**, o którego pomnikowej powieści historycznej **„Piotr I."** pisaliśmy już na tem miejscu, pokusił się o napisanie powieści o lekkim podkładzie sensacyjno-detektywnym. Rzecz ta nosi tytuł **„Eksperyment inż. Garina"** (dwa tomy, przekł. A. Sternowie, „Rój", 1935). Oczywiście wielki talent Tołstoja wyszedł cało i z tego zadania ale nie przypuszczamy, ażeby doszedł na tem polu do znaczniejszych rezultatów. Książkę czyta się gładko.

(g.)

NA NAJKRÓTSZEJ FALI

Niedziela, 21. VII 1935.

10.30: Transmisja Nabożeństwa.
12.03: „Na stepach Urugwaju".
14.00: Muzyka salonowa.
16.00: Recital fortepianowy Stanisława Szpinalskiego.
16.45: „Etymologja na wesoło" — szkic literacki, Arnolda Wilnera.
17.00: „Dla naszych letnisk i uzdrowisk". — Koncert.
18.15: Simons-Duvernois: Melodje z komedji muzycznej „Ty, to ja".
19.25: Melodje z operetek Lehara.
21.00: Koncert w wykonaniu Orkiestry Symfonicznej P. R. pod dyr. Józefa Ozimińskiego z udziałem Ignacego Dygasa (śpiew).
21.30: „Na wesołej lwowskiej fali".

Poniedziałek, 22. VII. 1935.

12.15: „Dla naszych letnisk i uzdrowisk" — koncert.
13.05: Koncert fortepianowy f-moll Fr. Chopina w wykonaniu A. Rubinsteina.
16.00: „W co się będziemy bawili" — audycja dla dzieci.
16.15: Mała Orkiestra P. R. pod dyr. Z. Górzyńskiego.
16.50: „O groch przy drodze" — humoreska Adolfa Dygasińskiego.
17.40: Conrado del Campo: „Caprichos Romanticos" — na kwartet smyczkowy.

Wtorek 23. VII. 1935.

15.30: Ork. banjolistów Pokrowskiego.
16.15: Popularna Muzyka organowa z płyt.
16.50: Codz. odcinek prozy: „Jakubowska", humoreska Wandy Miłaszewskiej.
17.00: „Dla naszych letnisk i uzdrowisk". Koncert w wyk. Małej ork. P. R. pod dyr. Zdz. Górzyńskiego z udz. Theo (utwory na theoli).
21.00: „Marcin — skrzypek" operetka Offenbacha. Wykonawcy: Janina Romanówna, Maurycy Janowski, Jerzy Czaplicki i inni, orkiestrą dyryguje Zdzisław Górzyński.
22.00: Koncert symf. w wyk. ork. PR. pod dyr. Józefa Ozimińskiego.

Środa, 24 VII. 1935.

12.15: „Dla naszych letnisk i uzdrowisk" koncert w wyk. ork. Tadeusza Seredyńskiego.
16.00: Pogad.: „Dbajmy o słońce i powietrze dla dzieci" wygł. dr. St. Średnicki.
16.50: Codz. odcinek prozy: „Co to jest blaga?" humoreska Bolesława Prusa.
18.00: Wesoły skecz: „Znak" w/g Guy de Maupassant'a w opr. Romana Zrębowicza.
19.30: Recit. śpiew. Edwarda Bendora.
19.50: „Świat się śmieje" przegląd humoru zagranicznego (polityczny humor francuski) pod red. Karmina.
21.00: Koncert chopinowski w wyk. Stanisława Nawrockiego.
21.30: Ze wspomnień o Piłsudskim: „Komendant w stosunku do dzieci", odczyt wygł. Juljusz Kaden Bandrowski.

Czwartek, 25 VII. 1935.

12.15: Piosenki (płyty).
16.15: Muzyka salonowa.
18.10: Minuta poezji. Wiersz Stanisława Miłaszewskiego.
18.45: Delibes: Muzyka baletowa.
19.30: Mozart: Serenada „Eine kleine Nachtmusik".
20.10: Muzyka lekka.
21.30: Teatr Wyobraźni nadaje słuchowisko.

Piątek, 26 VII. 1935.

12.15: „Dla naszych letnisk i uzdrowisk" — Koncert Zespołu Wiesława Wilkosza.
15.30: Drobne utwory R. Schumanna w wykonaniu Zespołu Niny Mańskiej.
16.15: Koncert w wykonaniu orkiestry Tadeusza Seredyńskiego ze Lwowa.
16.50: „Dzieło sztuki" — humoreska Czechowa.
19.30: Recital śpiewaczy Eugenjusza Mossakowskiego.
19.50: „Pirat radjowy" — „Impertynencje" Marjana Hemara.
21.00: Koncert w wykonaniu Orkiestry Symf. P. R. pod dyr. Grzegorza Fitelberga.

Sobota, 26 VII. 1935.

12.15: W. A. Mozarta: Symphonie concertante na skrzypce i altówkę.
13.06: Muzyka operetkowa Zdzisława Górzyńskiego.
15.30: Tear Wyobraźni nadaje słuchowisko dla dzieci p. t. „O Wicku, który pognębił śmierć". p/g opow. K. Makuszyńskiego.
17.00: „Dla naszych letnisk i uzdrowisk" — Koncert Orkiestry Symf. P. R. pod dyr. Józefa Ozimińskiego.
19.30: „Nasze pieśni" — w wykonaniu Wandy Roessler-Stokowskiej.
20.10: Wesoła audycja muzyczna.
21.30: „Odgłosy wsi" — koncert w wykonaniu Orkiestry Symfonicznej P. R. pod dyr. Józefa Ozimińskiego.
22.10: „Kukułka wileńska".
22.30: Mała Orkiestra P. R. pod dyr. Zdzisława Górzyńskiego.

SPÓŁKA WYDAWNICZA KURJER S. A.